Rok I. We Lwowie. Dnia 10. Lipca 1894. Nr. 13.

SŁOWO POLSKIE

DWUTYGODNIK

POŚWIĘCONY SPRAWOM SPOŁECZNYM, POLITYCE, LITERATURZE I SZTUCE.

Prenumerata we Lwowie:		Prenumerata z przesyłką:	
rocznie	12 koron (6 złr. — ct.)	rocznie	13 koron — ct. (6 złr. 50 ct.)
półrocznie	6 „ (3 „ — „)	półrocznie . . .	6 „ 30 „ (3 „ 30 „)
kwartalnie	3 „ (1 „ 50 „)	kwartalnie . .	3 „ 15 „ (1 „ 65 „)

Cena jednego numeru 30 ct.

Prenumerować można w Administracyi pisma, w Biurach Dzienników oraz we wszystkich księgarniach lwowskich i prowincyonalnych.

Redakcya i Administracya mieści się przy ulicy Kopernika l. 6.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Anti-anarchia — Choć się smażą w smole, nie wolno mówić, co się działo w. . sądzie — Zastępcy Ravachola i jego nauczyciele. — Wybuchy na drugiem półkolu. — Zkąd powstały Vanderbilty i skąd się bio· strejki. — Zamach Rotszyldów. — *Bellum servile.*

ak było do przewidzenia ostatnie za- anarchistów, a szczególnie zamor- wanie prezydenta Carnota spowodowały, nie badanie przyczyn tych nienormalnych i zatrważających ruchów, ale spotęgowanie tych właśnie zjawisk społecznych, które je wywołały Anarchiści krzyczą, że nie powinno być militaryzmu — zaprowadźmy stan oblężenia; anarchiści wrzeszczą na nienormalną przewagę bogatego mieszczaństwa, kupiectwa, czyli jak oni wyrażają *burżuazyi* — wybierzmy natychmiast na prezydenta najwybitniejszego przedstawiciela tej samej klasy; anarchiści żądają rozuzdanej, niczem nie ograniczonej wolności indywidualnej — zaprowadźmy sądy wyjątkowe i zniszczmy wolność prasy; anarchiści mordują policyą, potrójmy liczbę policyantów i dajmy im jeszcze więcej przywilejów. Tak przynajmniej postępują we Francyi, chociaż tam właśnie, po niezliczonej liczbie rewolucyi powinni się byli przekonać, że taka metoda prowadzi jedynie — do wybuchu. Najwięcej na tem tracą owe biedne prawa obywatelskie, za które nasi ojcowie i dziadowie krew przelewali. Nic lepszego naprzykład Perier nie wynalazł dla poskromienia anarchii, nad skasowanie sądu przysięgłych dla procesów anarchistycznych i *zabronienie sprawozdań sądowych.* Jakie to mądre, a nadewszystko praktyczne! Już gilotyna zastąpiła prostych zbójców, jak Ravachol, albo wątpliwych awanturników, jak Vaillant, nieposzlakowanymi fanatykami, jak Henry i Cesario; najnowsze wymysły mężnego Periera powiększą niezawodnie w dziesięć kroć liczbę tych odważnych półgłówków. *Quos perdere vult Zuppiter dementat* — kto ma zginąć traci głowę.

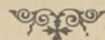
Tem niedorzeczniejsze są takie zamachy rządów na wolności obywatelskie, że sekta anarchistów jest bardzo nieliczna, i że ich doktryny, wygłoszone w setkach dzienników i dzieł na czysto naukowych podstawach, wcale takimi środkami się zwalczyć nie dadzą. Można będzie tylko zniszczyć wykonawców — jeźli się uda — ale zasady pozostają nietknięte i wygłaszają się, choć nie w takiej ostrej formie, we wszystkich uniwersytach. Anarchizm jest tylko krańcowym wywodem teraźniejszej ekonomii politycznej, opartej na *konkurencyi* i zasadzie *siła przed prawem,* uznanej przez wszystkie rządy teraźniejsze, czy absolutyczne, czy parlamentarne. Można będzie złamać sztylety i pogasić bomby, ale logiczne przesłanki istnieć nie przestaną.

Jako dowód, że trzeba się będzie wziąć do prędkiej naprawy prawnych i społecznych stosunków, mamy jednocześnie z europejskim anarchizmem olbrzymie *strajki* robotników

w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki. Chicago, główny punkt zetknięcia się tamecznych kolei żelaznych, jest widownią strasznych scen niszczenia i gwałtu, w których biorą udział setki tysięcy »oszalałych« robotników kolejowych, a wstrzymanie ruchu pociągów na wszystkich torach grozi jednocześnie ruiną fabrykom z braku opału. W wielu miejscach milicya nie chce poskramiać buntowników, a wojsko nawet odmawia posłuszeństwa. Bo też system kolejowy Stanów Zjednoczonych doprowadził do takich nadużyć i do takiego wybujałego kapitalizmu, że dłużej wytrzymać nie można. Temu pół wieku, rząd, chcąc pomódz jak najprędszemu budowaniu dróg żelaznych, niezbędnych w tych dziewiczych krajach w braku dróg zwyczajnych, oddał je w ręce towarzystw prywatnych, które zostały obdarzone najrozmaitszemi przywilejami, nieograniczoną wolnością wyzyskiwania i *kilko-kilometrowym pasem gruntów* około całej budowanej linii. Koleje wyrosły jak grzyby, ale przez nie ogromne bogactwa skupiły się w ręku kilku zręczniejszych i lżejszego sumienia spekulantów, jak Vauderbilty, Astory, tak że ci, już nie milionerzy, ale miliarderzy trzęsą całą rzeczą pospolitą, naznaczają frachty podług swego widzimisię i panują takim sposobem na rynku towarowym, jednem słowem, zagarniają wszystkie zyski producentów do swojej kieszeni. Dla tem większego *podniesienia owego krajowego przemysłu* naznaczyła Ameryka wygórowane cła ochronne, z czego powstała okropna drożyzna. Można sobie więc wyobrazić, jak wyglądają stosunki ludności pracujacej, kiedy owi panujący bogacze ni stąd ni z owąd zniżą płacę robotników, co się co dzień zdarza dla powiększenia dywidendy. Płoną składy i wagony, poszły z dymem budynki niedawnej wystawy powszechnej w Chicago, padają setki trupów w bratobójczej walce, ale póki przyczyna potrwa, to jest zawładnięcie dobrami narodowemi przez kilku magnatów, już nie szlacheckich, a kupieckich, te same skutki zdarzać się muszą. Myśmy Polacy dobrze na tem zawładnięciu wyszli, że powinniśmy życzyć Stanom Zjednoczonym jak najprędszego odebrania do Skarbu narodowego tego, co ze Skarbu kiedyś wyszło.

Chociaż więc ekonomiczne sprawy nie zupełnie do polityki należą, wspomnimy przy tej sposobności o innym miliarderze. pierwowzorze wszystkich, o Rotszyldzie, właściwie o Rotszyldach, którzy grożą podobnymi strejkami w samej Europie. Rotszyld zawładnął prawie całym naftowym przemysłem na Kaukazie i spiknął się z syndykatem amerykańskich nafciarzy, *Standard Oil Company*, dla opanowania całego naftowego rynku i, ma się rozumieć, dla podniesienia cen do niemożliwości. Rzecz znana, że takie wybujałe wybryki kapitalizmu kończą się zawsze przesileniem, przysłowiowym *krachem*, ale pomyślcie tylko o klęskach, które z każdego takiego krachu wypływają, i o buntach, rewolucyach, powstaniach, które z niego wypłynąć mogą! Nie napróżno sam Leon XIII. nawoływa do naprawy stosunków społecznych, ale niestety błogosławi tych właśnie, którzy *koncesyami* i *egzekucją podatkową* stwarzają te same stosunki.

Przy takich objawach wewnętrznych chorób naszych, niby cywilizowanych społeczeństw, rozumie się samo przez się, że dawne obawy *wielkiej wojny* blakną coraz bardziej, bo rządy nie mają do niej ani czasu, ani ochoty. Kwestya wschodnia, kwestya Alzacyi i Lotaryngii, nowopowstała kwestya Marokańska, albo jakaś kwestya Korejska na dalekim wschodzie między Chinami i Japonią, wszystko to niknie przynajmniej czasowo przed wielką kwestyą społeczeństw, opartych na nierówności klas, stanów i majątków, tą groźną kwestyą, która zniszczyła świat starożytny i nazywała się tam, jak mogła by się nazywać i dzisiaj Wojną sług, *Bellum serville.*



SPRAWY POLSKIE.

Walka z germanizacyą.

(Szkice z X. Poznańskiego),

napisał *Izydor.*

Opór. — Jego ogólna charakterystyka. Działalność ekonomiczna.

Zaraz na wstępie zaznaczyć musimy, iż antigermanizacyjna działalność Polaków z pod pruskiego zaboru posługuje się wyłącznie legalnemi środkami nie przekraczając nigdy granicy prawnej. Jestto okoliczność, której rodacy nasi z poza kordonu zrozumieć nie umieją i niejednokrotnie radziby za brak pa-

tryotyzmu poczytać ściśle przestrzeganą lojalność naszą. Z drugiej strony zdarzyć by się mogło, iż poznańczyk, nie znający zakordonowych stosunków, dziwiłby się, czemu jego bracia pod rosyjskim zaborem nieszanowaniem praw miejscowych drażnią zwierzchność i na prześladowania się narażają. Jedno i drugie zdanie naturalnie byłoby usprawiedliwionem i polegałoby wyłącznie na wielokrotnie przez nas zaznaczonej obustronnej nieznajomości położenia.

Pod rządem rosyjskim, gdzie śmiało powiedzieć można, zabronionem jest wszystko, co nakazanem nie jest, nie chcąc robić rzeczy niedozwolonych, nie robiłoby się nic. Prawa są często niemożliwe, niewykonalne, stosować się do nich niepodobna, to też każdy postępuje tak, jak mu jego przekonania dyktują, a o ile się łapówkami zabezpieczyć nie może, liczy na swą gwiazdę, że go od kolizyi z policyą lub żandarmeryą uchroni. Jeśli istotnie egzystują ustawy zapewniające i nam pewne korzyści, to powoływać się na nie nie można. Samo przypuszczenie, że się jakieś prawa posiada, uważane bywa za »niebłogonadiożnośť« i jako taka kwalifikuje człowieka do poddania pod cichy dozór policyjny. Słowem, nie istnieją tam drogi legalne i nie ma innego sposobu, jak chodzenie krętemi ścieżkami.

Wprost przeciwnie dzieje się pod rządem pruskim. Prusy nie są bez wątpienia idealną krainą wolności. Owa święta córa bogów chodzi tam ciągle w powijakach, rozwinąć skrzydeł do lotu jej nie wolno, gdyż mogłaby łatwo, uniosłszy się w zakazane regiony, na płacenie »sztrafów« się narazić. Bądź co bądź jednak przyznać trzeba, iż panuje taki pod każdym względem porządek wzorowy, przepisy — bez względu na to komu na razie szkodę, komu pożytek przynoszą — przestrzegane bywają ściśle i stosowanie ich od kaprysu lub humoru urzędników zależnem nie bywa, zaś co najważniejsza prawo szanuje ludzi — więc i ludzie prawo uczą się szanować.

Nasz udział w prawodawstwie jest naturalnie niezmiernie słaby, więc o ile się rządowi podoba narzucić nam ustawę dla nas szkodliwą, o ile w tych dążeniach znaleść może w narodzie swoim poparcie, poddać się musimy. Są jednakże pewne kardynalne zasady konstytucyi, na które targnąć się nie ośmieli, gdyż wywołaćby musiał zbyt silny opór w narodzie. I tak nawet najbardziej polakożercze ministeryum nie naruszy dla nas wolności prasy, nie ograniczy ze względu na swych polskich poddanych prawa wyborczego itp. Ponieważ konstytucya niemiecka każdemu poddanemu pewne prawa i swobody przyznaje, więc i my, korzystając z niej, możemy w niejednem na polepszenie naszej doli wpłynąć. Poruszanie się w ściśle legalnych granicach jest w położeniu naszem najskuteczniejszą i najpraktyczniejszą drogą, zarazem jedyną rozumną i do celu prowadzącą. O ile z tych granic nie wykraczamy, możemy liczyć na poparcie dobrze myślącej części niemieckiego narodu, możemy każdy wymieniony przeciw nam cios jako niesprawiedliwość piętnować, wołając, że nam się krzywda dzieje, gdyż pełniąc na równi z innymi poddanymi obowiązki, względem państwa równej opieki wymagać mamy prawo. Z chwilą gdyby wykazano nam, że działalność nasza narusza podstawy całości państwa lub zagraża porządkowi ogólnemu, zostalibyśmy odosobnieni, nie moglibyśmy liczyć na żadnych w kraju sprzymierzeńców i stracilibyśmy nadzieję wywalczenia czegokolwiek dla siebie.

I Niemcy czują dobrze, że owe trzymanie się ściśle legalnej drogi stanowi naszą siłę — to też niejednokrotnie usiłowali poddać w podejrzenie naszą prawowierność. Do pamiętnych faktów tego rodzaju należała przez śp. Niegolewskiego zdemaskowana intryga Bärensprunga, który, pragnąc rząd przeciw nam podburzyć, wykrył jakiś rzekomy spisek, przedstawiając różne sfałszowane dokumenty, zmyślone korespondencye zagraniczne itp. Zresztą i wymagania prawowierności pod rządem pruskim nie są tak wygórowane jak pod rosyjskim. Swych patryotycznych uczuć nikt nie potrzebuje się zapierać, nikt również nie jest zmuszony ukrywać dążeń skierowanych wyłącznie do popierania naszych narodowych interesów. O tem wszystkiem można mówić otwarcie i głośno, można się skarżyć na niewolę i ucisk, wspominać wielką przyszłość narodu, słowem, utrzymywać w zupełności polski charakter i polskie czcić ideały, nie narażając się przez to ani na prześladowania, ani na miano »buntowszczyka«. Byle po za tem podatki płacić, do istniejących przepisów się stosować, i rewolucyi nie wszczynać, działać można swobodnie. Ponieważ zresztą na

*

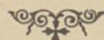
razie wszelka rewolucya dla nas jest niemożliwą i więcej by nam szkody niż pożytku przyniosła, więc nawet najgorętsi patryoci pokusy tego rodzaju nie doznają i do męczeństwa nie mają sposobności. Porzuciwszy więc myśl wszelkich zbrojnych czy pokojowych demonstracyi, bracia poznańczycy wytężają wszystkie siły w jednym kierunku: »Nie dać się zniemczyć« oto oś, wokoło której obraca się całe życie zachodnich dzielnic kresowych, cel wokoło którego skupiają się wszystkie usiłowania.

Wśród różnych zdań, które nam się zdarzało słyszeć o poznańczykach, spotkaliśmy się z określeniem, iż to są ludzie dla których głównym celem jest robienie majątku. Być może, iż rys ten uderza w nich, gdy ich porównamy z innymi ziarnkami. Jestto wyłącznie wpływ warunków, wśród których żyją, a jeśli interesownością, chęcią zysku, zmysłem praktycznym celują wśród innych Polaków, to na właściwym sobie gruncie w stosunku z Niemcami te wady czy przymioty posiadają stanowczo jeszcze w zbyt małym stopniu. Bracia nasi zrozumieć tego nie mogą, że pieniądze są w walce naszej z germanizmem niezmiernie ważną bronią, że tracić materyalną podstawę znaczy tyle, co poddać się, że wreszcie »robienie grosza po trosze do patryotycznych obowiąków tam się zalicza«. Nie pruskie bagnety, lecz pruskie talary nas biją — i nie bagnetami, lecz talarami możemy najazd odeprzeć. — Do skutecznego oparcia się napływowi Niemców potrzeba nam zupełnie tego samego co Fryderykowi Wielkiemu do podbicia Europy 1^0 pieniędzy, 2^0 pieniędzy i nareszcie 3^0 pieniędzy. Niestety, straciliśmy już ich bardzo wiele, tyle, że wątpić należy, czy kiedykolwiek stratę powetujemy w całości. Przedewszystkiem ziemię z pod nóg nam usuwają, a to jest tym większa strata, że nieomal niepowrotna. Nigdy nie odzyskamy tyle mórg, ile ich poszło w obce ręce, a tymczasem ubywa ich nam z roku na rok. Nie potrzeba być na to prorokiem, żeby przewidzieć, że większa własność polska zniknie tam zupełnie po upływie kilku pokoleń — a ziemię uratujemy o tyle tylko, o ile nam się uda zawczasu stworzyć jaknajliczniejszą własność drobną. Czy jedna drugą w zupełności zastąpić zdoła, dziś jeszcze przesądzać trudno, przyznać jednak należy, iż mimo wszelkich win, jakiemi się obywatelstwo wiejskie w poznańskiem splamiło, położyło i ono wielkie zasługi i nie małe miało dla sprawy polskiej znaczenie. Każdy dwór był twierdzą polskości i ogniskiem z którego się rozchodziło trochę światła i ciepła między chaty polskie. Wszystkie polskie stowarzyszenia, instytucye, przedsiębiorstwa we dworach znajdowały pierwsze i najsilniejsze poparcie. Obywatele stworzyli pisma polskie, polski teatr, banki, oni to posłowali na sejm i do parlamentu, oni powołali do życia towarzystwo rolnicze, kółka włościańskie, czytelnie bezpłatne, słowem ich pracą i nakładem wytworzył się cały ruch społeczny zachodniej dzielnicy. Stanowili tę najprzedniejszą część narodu, na którą wszystkie oczy zwrócone były, od których każda pożyteczna nowość poparcia i podtrzymania wyglądała. Ich też kieszenie obciążał każdy narodowy podatek, ich czas absorbowała każda obywatelska praca. Nie przeczę, że po za tem wszystkiem dużo było niepotrzebnych wydatków, zbytku, blagi, gry w karty i spekulacyi giełdowych, że to wszystko, dodane do tego, co powiedziano wyżej, mało pozostawiało czasu na pracę około roli i zupełnie zagradzało drogę do systematycznej przezornej oszczędności. — Jeżeli jednak można śmiało naszym panom zarzucić lekkomyślność i marnotrawstwo, to przynajmniej apatyi i lenistwa przypisywać im nie można. Ze względu na wpływ, jaki obywatelstwo wiejskie na inne sfery narodu wywierało, znikanie stopniowe większej własności dawno już przerażało dobrze myślących członków społeczeństwa naszego, dawno też już myśleć zaczęto o skutecznym ratunku. Niestety, pierwsza próba była niepomyślną. Stworzono bank, którego celem było udzielanie taniego kredytu hypotecznego na dobra ziemskie. Instytucya ta, smutnej pamięci »Tellus«, upadła i w upadku swym pociągnęła w przepaść cały zastęp tych, których ratować miała. Dawne to bardzo dzieje, i dziś trudno grzebać w zgliszczach tej pierwszej naszej ruiny, która była zarazem pierwszem głębokiem rozczarowaniem. Zarząd banku złożony w części z ludzi nieuczciwych i sprytnych, w części uczciwych, lecz łatwowiernych i zupełnie nie znających się na rzeczy, ponosi w całości winę za ten wielki krach finansowy. Wiele nadziei zostało rozbitych, wiele majątków zachwianych, a zdrajca, który spowodował upadek i nędzę innych, zręcznie wycofał nieuczciwie zdo-

byte kapitały i za kordonem spokojnie zaczął używać owoców swego występku. Podobno nawet nadwerężoną opinią swą rublami załatał. W ogóle powiedzieć można, iż nasze instytucye finansowe nie pod pomyślną powstawały gwiazdą. Jakoś dziwnie nie wiedzie się naszym bankom i przedsiębiorstwom. Czy to, że braknie nam zmysłu do interesów, czy zbyt słabą jest podstawa, od której operacye nasze zaczynamy, czy też ogół naszego społeczeństwa w niewłaściwy sposób kredyt pojmuje i obchodzić się z nim nie umie, dość, że z małemi wyjątkami banki nasze albo upadają, albo iście suchotniczy wiodą żywot. Sądzę, że wszystkie te przyczyny równie ważną rolę grają w tem zjawisku. My Polacy, jesteśmy bez kwestyi narodem bystrym i zdolnym, w żadnym kierunku nie braknie nam tęgich i lotnych umysłów, ale jesteśmy przeważnie tak wszechstronnie wrażliwi i, powiedzmy prawdę, powierzchowni, że każdą sprawę traktujemy po dyletancku a przy tem nigdy na jednej uwagi skupić nie umiemy. Gdy chodzi o interes — przyjaźń wchodzi nam w drogę, od obowiązków przyjaźni odwołuje nas rozrywka, wśród rozrywki nastraja nas poważnie wielka polityka, a w polityce interes plącze nasze kroki. Każdy z nas może być wszystkiem w danej okoliczności, niczem na seryo, i niczem wyłącznie. Na czele naszych instytucyi finansowych prawie nigdzie nie stawali specyaliści; co prawda nie mamy specyalistów tego rodzaju, są tylko amatorowie, jednostki poświęcające się dla ogólnego dobra, wreszcie ludzie, którzy interesami zajmują się z natchnienia. Podobno jakiś szlachcic francuski z przedrewolucyjnej epoki zapytany, czy umie grać na fortepianie, odpowiedział: »Nie umiem pana objaśnić, nigdy nie próbowałem, ale zobaczę«. Nasi panowie nie mówią tego — ale myślą tak samo. Próbują rzeczy, o których nie mają pojęcia, a gdy się próba nie uda, nie oni sami na tem cierpią. Przy tem jeszcze braknie im nieodzownej w interesach przezorności i ostrożności, przyszłości obliczyć nie umieją i dla tego, lokując kapitały, zamiast rachunkiem, wrażeniem się powodują. Ktoś gwałtem potrzebuje pieniędzy, człowiek nieszczęśliwy, ma nóż na gardle, więc dalej pożyczają mu znaczną sumę bez względu na to, że kredyt to nie kamfora — nie można go używać na przedłużenie życia umierającym. Na takich i tym podobnych operacyach banki tracą a dłużnicy nie zyskują, gdyż upadają ze znaczniejszym jeszcze deficytem. W ogóle instytucye finansowe, a nawet przedsiębiorstwa, którym społeczne nadaje się znaczenie, popadają zwykle w to niebezpieczeństwo, że je ogół za filantropijne zakłady ma ochotę uważać. Żądają od nich miłosierdzia, wołają ratunku i dla tego instytucye owe, rozdzieliwszy wsparcia między kilkadziesiąt jednostek, kończą swój żywot i piszą testament czyli ogłaszają likwidacyą. W wielkich finansowych obrotach drobne straty bywają przewidziane i zachwiać podstawą operacyi nie są w stanie, ale w naszem położeniu o obracaniu milionami mowy być nie może, i niech tylko przyjdzie nieurodzaj, mokre żniwa, niech ceny spadną, już wszystkie nasze wielkie domy bankierskie chwieją się od fundamentów aż do dachu. Pamiętać i to należy, że Księstwo poznańskie to mała prowincyjka, parafia prawie. Wszyscy wszystkich znają, wszyscy ze wszystkimi są interesami związani i niech no jeden upadnie, to już każdy »par ricochet« szturchańca otrzyma. — Co zaś najgorsze — to to, że my znaczenie pieniędzy właściwie nie pojmujemy, — a tego nie mówię wyłącznie o Poznańskiem, lecz ogólnie biorąc, o wszystkich naszych braciach od Warty po za Bug i Wisłę, aż do Dniestru i Dniepru. Nie uznajemy różnicy pomiędzy talarem pożyczonym a własnym, między sprzedażą zboża przed żniwami a po żniwach, między zabezpieczeniem na hipotece a na pomyślnych widokach, opartem. Jeśli kto z nas gra na loteryi, to od razu zwiększa skalę wydatków na rachunek wielkiego losu, który się wygrać spodziewa, jeśli kupi akcyą, to zanim całą należną zań sumę zapłaci, już wyciąga rękę po 25 procent dywidendy — nie mniej bynajmniej, a kto wie? — bywają akcye które i 40 procent dają? W ogóle kursują u nas ciągle weksle z podpisem nadziei i eskontujemy je choćby na 11 miesięcy przed terminem. To też u nas jeśli komu się uda zaciągnąć pożyczkę, cieszy się naiwnie, jak gdyby się fortuna do niego niespodzianie a czarująco uśmiechnęła, gdy zaś przychodzi do spłacenia jej lub choćby do uiszczenia się z procentów, natenczas jęczymy ciężko, jako niesprawiedliwie przez los prześladowani. Procent jest jednak nieuchronnym wynikiem kredytu, jestto prawda jasna i prosta, a my

nie jesteśmy idyotami, aby jej nie zrozumieć, ale jak nikt nie myśli o śmierci za młodu, choć wie, że go ona czeka niechybnie, tak i my, pożyczając, nie myślimy o procentach, boć to jeszcze do tego daleko a przez rok wiele stać się może; można się nawet zbogacić!! Tej ostatniej prawdy nie popierają żadne fakty, a jednak my wierzymy w nią niezłomnie. Jak już wspomniałem, wszystkie te mylne na kwestye pieniężne zapatrywania nie są ani wynalazkiem Poznańczyków, ani też ich wyłączną własnością, a jednak nigdzie one pewno tyle nam szkód nie przynoszą, co właśnie pod pruskim rządem, tam bowiem twarda rzeczywistość szybciej niż gdziekolwiek złudzenia rozwiewa. Płynie to po prostu ztąd, że przy większym porządku ogólnym, przy łatwiejszych i lepszych środkach egzekwowania należności nie można nie płacić długów, jeśli się jest człowiekiem, który do zwykłej nieuczciwości i podstępnego bankructwa się nie zniża. Za kordonem nie nie jeden obywatel zadłużony po uszy siedzi lata całe na swej wiosce, wierzycieli odsyła do lepszych czasów i żyje z procentów od swych długów; w Poznańskiem jestto niemożliwe; kto nie ma pieniędzy musi się ze wsi wynosić, rady na to nie ma. Kredyt wreszcie jest obosieczną bronią: — jednych na nogi stawia — drugich do upadku doprowadza, wszystko zależy od tego, jak się nim kto posługuje. Rolnik, jeśli używa kredytu dla podniesienia wartości swego gospodarstwa, może bardzo dobrze na nim wychodzić, jeśli przeciwnie obdłuża majątek, a dochodów z niego nie podnosi, wytwarza dla swej pracy tak ciężkie warunki, że go prędzej lub później do ruiny doprowadzić muszą. Z tego wszystkiego wynika, że ani nasze banki obywateli nie ratują, ani też obywatele banków podtrzymać i do kwitnącego stanu doprowadzić nie mogą. Z pomiędzy naszych instytucyi kredytowych najlepiej egzystuje Bank włościański. Początkowem jego zadaniem było udzielanie pożyczek na hipoteki drobnych posiadłości, gdy jednak towarzystwo kredytowe ziemskie i małym właścicielom kredyt otworzyło, rola jego w tej mierze ograniczyła się do pośredniczenia w regulowaniu hypotek i zaciąganiu pożyczek, po za tem jednak wykonywa wszelkie inne czynności bankierskie z korzyścią dla akcyonaryuszów i zadowolnieniem klientów. To powodzenie banku włościańskiego w obec niepowodzenia innych naszych instytucyi kredytowych niczem innem zresztą tłomaczyć się nie może, jak tylko umiejętnem i sprężystem kierownictwem. Gdzie jak u nas ogół zupełnie zmysłu praktycznego i znajomości obrotów finansowych jest pozbawionym, — osoba dyrektora, jego rozum i charakter są pewniejszą gwarancyą bezpieczeństwa instytucyi, niż najlepiej obmyślona kontrola, gdyż ta ostatnia w praktyce czczą formalnością się staje.

(Dalszy ciąg nastąpi).



W pełni wystawy.

(Szkice)

Minął miesiąc jak ją otwarto... Chrzcił ją deszcz i przez czterdzieści dni bez przerwy jej błogosławił — a jednak wsród tych upustów doczekała się dni cieplejszych, słonecznych.

Oglądaliśmy ją wśród tej słoty bezustannej, kiedy wygląd jej świeży, ochoczy, pewnym kontrastem odbijać musiał od tych twarzy ludzkich, pochmurnych, zkwaszonych, przy tem towarzystwie kaloszy i parasolek, z któremi częstokroć wystawowe przedmioty rywalizować musiały. A jednak choć złorzeczyliśmy wówczas niebu, toż przed tą ziemią, na której stała, uderzaliśmy już pokłonem uwielbienia, zadowolenia i nadziei. Dziś, przy słońcu pogodnem, powinna się przedstawić jeszcze wdzięczniej i powabniej.

Ruszamy więc w drogę zobaczyć ją w tym okresie pełni i rozkwitu. Towarzyszy nam już cały legjon pojazdów, dorożek, omnibusów, gęsta chmura znanych i nieznanych ludzi. Elektryka i wodotryski pracują teraz na ziemi. Po drodze spotykamy tylko jedną posępną twarz... Ostatni cieśla wystawowy, z siekierą na ramieniu, wracał do domu z boiska sokolego a z twarzy jego wyczytyć można było ten żal, że praca już skończona i minął zarobek — gdy tym czasem tak nie jest, bo dopiero zaczęta i pod dobrym znakiem.

Przy wstępie, w głównej bramie, *cerber* wystawowy robił mi trudności oglądając fotografię przy mojej permanentce, musiałem mu dopiero wytłómaczyć, że podobizna ta

robioną była w dniach słoty, przygnębienia splenu — a dzisiaj pierwszy dzień cudnej pogody nastał. Człowiek ów, choć się na pschologii nie rozumiał, pojął ją widocznie odrazu i puścił mnie za Letę.

Wszedłszy oglądnąłem się zaraz po za siebie i spostrzegłem, żem stracił z oczu jednego z dwóch towarzyszy, którzy mi mieli ciceronować w dzisiejszej, mojej przechadzce po wystawie. Prowadziłem ze sobą z jednej strony, piękną, jasnooką niewiastę, której z twarzy przebijał zapał i uniesienie, z jej słów, wysoka skala hymnów pochwalnych, z jej duszy, moc wrażliwości i uczucia, z ruchów, cząstka tej kobiecej kokieteryi, która we wszystkiem i wszystkiemu pragnie się przypodobać. Ta mnie nie opuściła. Ale za to ta zimna i sztywna krytyka nie śmiała wejść za mną, bojąc się widocznie popsuć tej harmonii w duszy.

Stanąłem więc i zadałem sobie pytanie w jakiej roli tu przychodzę. Czy w roli zamaskowanego przeciwnika tego *popisu narodowego*? Nie. Czy pragnę być gościem tych mitr książęcych i hrabiowskich, które mu firmę dodały czy też tych wszystkich czarnych dłoni polskich, pracujących, jakie tu nagromadziły owoce swych wysiłków w *setną rocznicę heroizmu*. Tak. Nie mam wreszcie zadania tych luźnych uwag, które tu spiszę na kolanie, umieścić w piśmie codziennem, czytanem przez tysiące, gdzie najsłuszniejsza nawet uwaga, mogłaby być przez niejednego źle zrozumianą, szkodząc sprawie samej, która, rzecz prosta, jak każda ziemska potrzebuje koniecznie, tej, choćby sztucznej czasami zachęty, uniesienia, żywszych kolorów, pełniejszych dźwięków dłuższych łokci. Ale pisząc do dwutygodnika jakim jest »Słowo Polskie«, nie mam tych skropułów, czuję się być swobodniejszym w omawianiu przedmiotu; bo chociażbym nawet ostro zaciął pióro w pawilonie dziennikarskim i skrzypnął niem zaraz obok sąsiedniego pawilonu z szyldem niemieckim, to tego dyssonansu i tak nie posłyszą te tłumy garnące się do turnikietów, ta garstka dobrych znajomych, czytelników »Słowa» z których z pewnością i tak każdy złoży podatek patryotyzmu i ciekawości u bram naszej wystawy.

Odwróciłem się więc i zawołałem: chodż ze mną krytyko! nie bój się tej marsowej miny Dyrektora wystawy, ten mars był mu potrzebny widocznie, aby z innymi dokonać tego dzieła.

Trzeba było widzieć oblicza moich obu towarzyszy jak okrążaliśmy basen wystawowy, a towarzyszka z zapałem rwała się ciągle naprzód, pokazując z jednej strony na pałac sztuki, z drugiej na wielki gmach przemysłowy i na zielonym pagórku wzniesioną świątynię grecką, tę prawdziwą perełkę ararchitektury wystawowej. Złośliwa nawet krytyka nie potrafiłaby nawet na tym pierwszym etapie zamruczyć, pesymizm tylko z pewnem niedowierzaniem spoglądał na zewnętrzną postać gmachu przemysłowego, pytając co tam może pomieścić się w jego wnętrzu, krom nędzy galicyjskiej.

Stanęliśmy tymczasem na terasie przed pałacem sztuki, nie wiemy jeszcze co zamknięto w tych ścinach, ale przed sobą widzimy zato na stalugach drzew i wzgórz rozpięty przecudny pejzaz natury. Wątpię czy w tym gmachu znajdziemy takiego artystę, któryby z trzech kolorów: białego, zielonego i niebieskiego potrafił stworzyć taki krajobraz cichy łagodny, tylko z jednej strony szarpnięty lwim pazurem; tym milszy przytem ten widok, że tak niespodziewany dla tych, którzy przed chwilą jeszcze szarpali piersi kurzem miejskim, a oko brudem. Jeszcze piękniejszy przedstawia się ten krajobraz pod wieczór, gdy zachodzące słońce iluminuje fronton miasta, złoci szyby i dachy blaszane. *Ecce!*

Niejednokrotnie już poruszano tę okoliczność, że położenie naszej wystawy przewyższa pod tym względem wszystkie inne zagraniczne; ktoś ze zwiedzających twierdził, że tylko edynburska równie pięknie była położoną.

Dla tego zatrzymaliśmy się na wstępie dłużej przy tej żywej panoramie, gdyż ona w znacznej mierze, przyczynia się do stworzenia w nas tego przyjemnego uczucia, jakie odnosimy z przeglądu wystawy. U samego wstępu, pod wpływem tego pierwszego korzystnego wrażenia, nabieramy już pewnej sympatyi, pobłażliwości dla tego, co mamy zwiedzać i oceniać szczegółowo, a co na nasze przyjęcie, jakby ustroiło się w te szaty odświąteczne. Nic więc dziwnego, że sukcesem ogólnego wrażenia, musi się nasza wystawa szczodrze podzielić z naturą, która na samym wstępie tak uroczo wita i podbija serca, zwłaszcza ekich gości. Znalazł się

już nawet taki naiwny projektodawca, któremu się gwałtem uroiło, że Komitet wystawy gdy znajdzie się w przyjemnem położeniu rozdzielania nadwyższki dochodowej (sic) nie powinien zapomnieć wówczas i o »Tow. upiększenia m. Lwowa.“

Jeżeli jednak ramy tego obrazu są piękne i czarujące, to treść sama co do zewnętrznej postaci dużo pozostawia do życzenia. Pięknych, zgrabnych, nie koniecznie wielkich i kosztownych budowli, ale nie rażących przynajmniej oko zwykłego, przeciętnego profana, mało tu znajdziemy. Proszę zejść tylko na dół do parku Kilińskiego i popatrzyć się w górę na ten chaos: żerdzi, słupów, dachów wierzyc, kopuł zbitych w jedną, kilometrową masę. Istny kirkut żydowski. Wystawa na parku zyskuje — park na wystawie traci. Główną przecież winę tego zagwożdzenia wystawy, nie możemy przypisać tym co ją planowali, gdyż ludzie ci wysilać się musieli w granicach teranu, który dalej już rozszerzyć się nie dał, chyba przez włączenie toru wyścigowego, ale takiego zaparcia się i patryotyzmu, trudno było się spodziewać od naszych pstrokatych kurtek dżokiejskich. Więcej powietrza, a nasza wystawa przedstawiłaby się z pewnością i o wiele powabniejszą i bez porównania większą, niż się w rzeczywistości przedstawia.

Jedno uderza nas nieprzejemnie na *Kościuszkowskiej* wystawie nie dostrzegamy nigdzie choćby biustu naszego Naczelnika wśród krzewów i zieleni. Dziś już zapóźno żałować, że nie zdobyliśmy się nawet na pawilon specyalny, gdzieby należało pomieścić pamiątki po wielkim człowieku i z jego epoki. To nas przynajmniej powinno zadowolić, że cały ten ogrom pracy narodowej i postępu, splótł się na wieniec laurowy poświęcony pamięci r. 1794.

A teraz wstępujemy do wnętrza stu kilku nastu pawilonów. Trzebaby mieć pajęcze zdolności kojarzenia i motania nitek w jedną harmonijną całość, aby wyszedłszy z tego labiryntu na świat, skrystalizować w zwojach mózgowych sąd o całości, zwęzły, krótki, treściwy, jak na to te wązkie kolumny pisma pozwalają. Tyle nagromadzonych przedmiotów, oddziaływujących na wszystkie pięć zmysłów ludzkich, nie wolno zwiedzającemu jak tylko za pomocą jednego zwroku ocenić. — »Dotykać przedmiotów nie wolno« przybito i na strarej zardzewiałej podkowie, w panoramie racławickiej mówić nawet człowiekowi nie pozwalają, w pawilonie Matejkowskim nosić parasolek, choć z góry na łeb świeci Jakiż sąd mam wydać o kryształowej soli wielickiej, kiedy ktoś na kartce dopisał: dotykać.. *i lizać* nie wolno. Jako sędzia i znawca skrępowany się czuje na każdym kroku, nic dziwnego, że sąd mój w tem trudnem położeniu może być jednostronny, powierzchowny. Staję naprzykład przed piramidą wódek p. Baczewskiego, lecz cóż mam o ich dobroci i smaku powiedzieć, patrząc przez szkło — tyle, co o piękności rysów mumii egipskiej zawiniętej w prześciradło. Nie żądaj więc czytelniku odemnie szczegółowego sądu, gdyż ten przypadł w udziale tylko uprzywilowanej kasie Braminów, t. z. sędziom wystawowym, oni będą próbować, liczyć, ważyć, mierzyć przedmioty na wagę honoru, złota, srebra, czy brązu, jakkolwiek ta skala w tem uszykowaniu nie zawsze odpowiada nominalnej wartości, jaką posiadają te odszczególnienia na tym bożym świecie.

Zazwyczaj kiedy nam przychodzi mówić o dokonanem już przedsięwzięciu, o jego rozmiarach, zakresie, treści samej, wówczas najłatwiej wydajemy sąd o tem, za pomocą zwykłego porównania z temi przedsięwzięciami, jakie gdzieindziej już dokonano — bez względu na to kto je dokonał i w jakich warunkach. Czy to jest słuszne zapatrywanie, należycie obrany punkt widzenia do obserwacyi przedmiotu? Jednym i tym samym szkiełkiem spoglądać na wystawę w kraju, spustoszonym dawnymi rządami, zaniedbanym na każdym polu, wyciśniętym jak cytryna — i na wystawy innych krajów szczęśliwszych od naszego, bogatszych, ruchliwszych, mających przeszłość, sprzyjającą ich rozwojowi, stosunki utrwalone naturalnym biegiem, położenie topograficzne dogodne, komunikacye lądowe i wodne korzystne, ludność wykształconą, — tu braknie miary właściwej. Siły działają tak nierówne, warunki tak odmienne, że i żądania nasze muszą być inne, bardziej zastósowane do warunków miejscowych.

Lecz choć wystawa nasza może być bez porównania mniejszą od innych, uboższą, nie tak wszechstronną, a przecież pomimo to może przewyższyć tamte olbrzymim krokiem postępu, jaki przedstawia. Najsamprzód zatem do porównania nasunąć się powinna miara między tem co było, a co jest.

Ale i charakter naszej wystawy jest odmienny. Ma ona w sobie coś cząsteczkowego, niezupełnego w każdym calu. Jest ona tylko bądź co bądź odłamem ogólnego obrazu państwa, narodu, a w kraju — społeczeństwa. Nawet krajowe wystawy, tej cechy drobinowej nie posiadają, co nasza, bo jeśli nie skupiają grosze dorobku wszystkich warstw społeczeństwa, to narodowość całą obejmują, bo ona zazwyczaj mieści się w politycznych granicach kraju. Paryskie wystawy stwarzał *naród francuski*, praska była *czeską* wystawą, lwowskiej *polską*, w całym słowa tego znaczeniu, nazwać nie możemy, bo obrazu siły twórczej całego narodu polskiego nie przedstawia, ale tylko $^1/_5$ jego cząstki.

Wystawa lwowska nie posiada zatem cechy *ogólno narodowej*. Sympatyzują z nią i za swoją uważają wszyscy Polacy rozrzuceni na całym obszarze ziem polskich, to też te okazy z innych dzielnic przesłane uważać możemy tylko jako zadatek solidarności narodowej i w pracy spokojnej, wytrwałej. Dzisiaj popis składa tylko Galicya, cieszy się Polska z tego, a rządy zaborcze mają najlepszy dowód, że i Polacy korzystać mogą i umieją z większej swobody i możliwości działania.

Powiedzieliśmy, że zaledwie cząstkę społeczeństwa galicyjskiego reprezentuje w swoich pawilonach Galicya. Kilkudziesięciu zamożniejszych postawiło własne pawilony, kilkuset mieści się komornem głównie w pawilonie przemysłowym — a miliony znalazły pomieszczenie wyłącznie w chacie etnograficznej.

Co do tego punktu wystawa nasza daje więc wierny obraz rzeczywistego stanu rzeczy, wykazuje graficznie, ogrom niewytkanej siły — rąk ludzkich i uzdolnień To też nic dziwnego, że zainteresowanie się krajową wystawą w masach ludu. nie jest takie jakby sobie życzyć należało. Cóż znaczą te sporadyczne wycieczki ludu naszego, po większej części przynęcone sztucznie z poświęceniem i trudem ludzi dobrej woli? Cóż powiedzieć dopiero o stopniu wrażenia, jaki na tych ludzi wystawa wywiera? Bez wątpienia, że nie jest on taki, jak może optymizm nasz pragnąłby go widzieć. Gdyby miejsce pozwalało mi na to, jako ilustracyę podałbym parę szczegółów z niedawno odbytej wycieczki ludu z powiatu jarosławskiego. Jesteśmy zdania, że wycieczek ludowych zwłaszcza z dalszych stron nie należałoby gwałtownie forsować, obietnicami przynęcać, doszliśmy bowiem do przekonania, że ten tylko odnosi ze zwiedzenia wystawy prawdziwą korzyść i zadowolenie, kto z własnej woli i przeświadczenia wybierze się na nią.

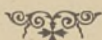
Jest jeszcze jedna różnica między naszą wystawą a zagranicznemi. W krajach przemysłowych fabrycznych wystawa jest wiernym odbiciem fotograficznem tego olbrzymiego ruchu ekonomicznego odbiciem dokonanem według pewnej minimalnej skali, zastósowanej niemal w każdej gałęzi produkcyi. Gdybyśmy ten obraz dostrzeżony tam na placu wystawowym wyobrazili sobie 10, 100, ale 1000 razy większy, nabralibyśmy dopiero pojęcia o sile produkcyjnej kraju całego. Tym mnożnikiem, nie możemy się posługiwać na wystawie lwowskiej chyba w wyjątkowych razach tylko. Tutaj okazy nagromadzone są częstokroć unikatami, wzorami uzdolnienia, a myliłby się, ktoś sądząc. że kraj to wszystko produkuje i zbywa. Tak jeszcze nie jest, na tę drogę wstępujemy dopiero, a wyzwalając się z terminu długiego uśpienia, przedkładamy swoje »majstersztuki«.

Znaczna część wystawców naszych, przez szyby swoich gablotek odzywa się tylko do społeczeństwa: oto prace rąk naszych, tak pracować potrafimy, takie nasze uzdolnienie — od was zależy, czy mamy na przyszłość więcej takich przedmiotów wyrabiać. I w tem leży główna różnica naszej wystawy z innemi zagranicznemi: *nasza jest popisem: postępu, uzdolnienia, dobrych chęci i zamiarów na przyszłość, tamte rzeczywistej już masowej produkcyi i zbytu*. Wyobrażamy sobie z jakiem zadowoleniem i gotowością przyjąłby n. p. paryski przemysłowiec naszą ofertę na tysiąc sztuk wystawionych przezeń przedmiotów a w jakim ambarasie znalazłby się nie jeden z naszych wystawców, gdybyśmy mu zrobili tak impertynencką propozycyę.

Przecież dla kraju niemniej jest rzeczą pożądaną i ważną wiedzieć, jaki ma materyał do zużytkowania, gdzie go szukać należy, jak nim pokierować, do czego rękę najspieszniej przyłożyć Tę wskazówkę niezawodnie że daje nam wystawa lwowska, a skoro spełni choćby to *informacyjne* zadanie, mieć będzie już wielką i doniosłą zasługę, dla ekonomicznej przyszłości kraju, który stawiając pierwsze kroki na tej drodze, potrzebował tej laski przewodniej i kom-

pasu, jakie mu podała wystawa kościuszkowska, gromadząc surowy materyał, uzdolnienia wysiłki, chęci dobre i pracy — pod źrenicę oka. Sszczegółowsze rozpatrzenie się w poszczególnych działach odkładamy na później.

Es-te-ka.



NAUKA.

SPIRYTYZM.

(Dokończenie).

V.

Oprócz faktów, o których dotąd była mowa, a których sprawdzeniem nauka zająć się nie może już dla tego samego, że wiadomo o nich tylko z posłuchu, to zaś, co o nich piszą Crookes, Wallace i Du Prel, nie zawiera w sobie dokładnych wiadomości, jakie są wymagane przez naukę, ażeby mogła na ich podstawie wyrzec swój sąd o rzeczy — są inne jeszcze, wprawdzie skromniejsze, ale nie mniej mające świadczyć o istnieniu bądź nieznanych sił, bądź niezbadanych dotąd właściwości ducha ludzkiego. Należą do nich: automatyczne pismo, przeczucie, jasnowidzenie, halucynacye sprawdzające się i duchy domowe. Fakty te tem się różnią od poprzednich, że albo są bądź dostępne bezpośredniemu badaniu, jak pismo automatyczne, bądź dostarczają obfitego materyału dowodowego, pozwalającego za pomocą krytyki wysądować, co w nich jest jeżeli nie prawdziwego, to przynajmniej prawdopodobnego, oraz jaki stopień prawdopodobieństwa można im przyznać

Pismo automatyczne jest objawem, jak najczęściej wyzyskiwanem przez spirytystów, wszelkie bowiem doświadczenia ze stolikami i ekierkami straciły u nich swe znaczenie, takie zaś medya, jak Home, Slade i t. p. są okazami nader rzadkiemi. Polega ono na tem, że medyum, trzymając ręce pod stołem, wypisuje na tabliczce całe zdania, w pewnym związku z sobą zostające, wypisuje zaś je bezwiednie, gdyż w tym samym czasie może być zajęte rozmową. Zostało ono sprawdzone naukowo, ale zarazem wyjaśnione na podstawie faktów, oddawna znanych w psychofizyologii, jako objaw automatyzmu psychicznego.

Automatyzm leży na dnie wszystkich naszych czynności, nawet najbardziej dowolnych. Chodzenie, pisanie, czytanie, a nawet myślenie opierają się na automatyzmie, którym posługujemy się dowolnie dla osiągnienia pewnych skutków. Automatyzm ten jest dziełem naszej woli, ale raz ustalony w naszym organizmie, może on działać od niej niezależnie, jakkolwiek w normalnych warunkach wymaga zapoczątkowania z jej strony. Wola pobudza automatyzm do działania i nadaje mu odpowiedni kierunek. Dziecko, stawiąc pierwsze kroki, musi pokonywać ogromne trudności i cała jego uwaga zwrócona jest wyłącznie ku temu, ażeby przez nadanie właściwego natężenia odpowiednim mięśniom utrzymać równowagę ciała. Kieruje się ono w tem czuciem mięśniowem. Przeciwnie dla osób dorosłych chodzenie jest czynnością tak łatwą, że mogą ją wykonywać mając uwagę zaprzątniętą czem innem — rozmową, myśleniem, zastanawianiem się nad przedmiotami, nastręczającemi się ich wzrokowi. Tak samo ma się rzecz z pisaniem, z czytaniem, graniem na jakimś instrumencie Pisząc, nie zwracamy uwagi na ruchy ręki, jakie są konieczne dla nakreślenia jakiejś litery albo całego wyrazu. Cała nasza myśl zajęta jest wyłącznie wyobrażeniami i pojęciami, jakie nam się nasuwają, oraz zachodzącemi między niemi stosunkami. Pilnie śledzimy ich przebiegu i czuwamy nad nim, ażeby nie zboczył od kierunku, jakiśmy mu wykreślili stosownie do powziętego z góry zamiaru. Nie inaczej ma się rzecz z myśleniem. Opiera się ono na kojarzeniu wyobrażeń, które ustala się w pamięci dzięki doświadczeniu. Jedno wyobrażenie pociąga za sobą szereg innych, z któremi zostało skojarzonem i w ten sposób dostarcza myśleniu materyał, z którego ono wybiera to, co najbardziej odpowiada zagadnieniu, o jakie mu chodzi. Cała więc czynność myślenia polega wyłącznie na ocenianiu wyobrażeń i pojęć, oraz zachodzących między niemi stosunków.

Typowym przykładem automatyzmu psychicznego jest somnambulizm, zwany inaczej lunatyzmem. Jestto pewien rodzaj snu, podczas któregó wykonywa człowiek różne czynności, z taką dokładnością, na jaką go nie stać w stanie czuwania. Może on nie tylko chodzić, ale nawet pisać i czytać, a co więcej roz-

wiązywać najtrudniejsze zagadnienia naukowe, nad któremi za dnia napróżno się mozolił. O wszystkich tych czynnościach podczas snu wykonanych po przebudzeniu się człowiek nic nie wie — i dowiaduje się o nich tylko ze skutków, jakie po nich pozostały. Do tego rodzaju chorobowych objawów należy także pismo automatyczne. Możnaby je nazwać objawem połowicznego somnambulizmu. Ściśle jednak rzecz biorąc, potrzeba je odnieść do tej klasy chorób, których istotę stanowi rozprężenie osobowości — jak np. obłęd umysłowy, zdwojenie osobowości. Różni się ono od nich tylko tem, że w niem to rozprężenie osobowości bywa chwilowe, nie zaś stałe lub długo trwałe. W każdym razie jest ono objawem chorobowym, o czem świadczy także i to, że medya, posiadające zdolność automatycznego pisania, cierpią zazwyczaj albo na histeryę albo na znieczulenie prawej strony ciała.

Że automatyczne pisanie nie ma nic wspólnego z mniemanemi cudami spirytyzmu, że jest ono przeciwnie zjawiskiem naturalnem, lubo chorobowym, okazuje się to najwidoczniej z tego, że odpowiada ono jak najściślej tak pod względem formy, jako też treści stopniowi wykształcenia medyum. Znajdują się w niem właściwe mu błędy ortograficzne i językowe i bywa ono często prostem powtórzeniem tego, co kiedyś medyum czytało lub słyszało. Spotykamy się w niem z takiemi tylko zdaniami, na jakie stać jednostkę, która zgodnie z warunkami swego położenia towarzyskiego musi posiadać odpowiednie mu zapatrywania, uczucia i pragnienia.

Co się tyczy przeczuć, jasnowidzeń i halunacyi sprawdzających się, to jak dotąd, nie doszła nauka w swych poszukiwaniach nad niemi do takich wyników, któreby ją upoważniały do jakiegoś stanowczego o nich zdania. Na podstawie tych faktów, które są znane i uznane za wiarogodne, nie podobna ich przyjąć za stwierdzone, jakkolwiek z drugiej strony nie można ich zaliczyć bezwarunkowo do złudzeń.

Są wprawdzie uczeni, którzy innego są zdania. Prof. Cybulski ze względów teoretycznych odrzuca je bezwzględnie, inni, jak znany fizyolog francuski Ch. Richer, uważa je za dowiedzione lubo powstrzymuje się od ich wyjaśnienia.

W celu zbadania powyższych zjawisk pozawiązywały się stowarzyszenia w Londynie, Paryżu i Ameryce, mające na swem czele pierwszorzędnych uczonych — przyrodników i filozofów. Na podstawie materyału, zebranego przez angielskie towarzystwo: *Society for Psychical Research*, trzej jego członkowie, z których Gurnej, niedawno zmarły, należy do powag naukowych, opracowali dzieło: *Phantasms of the Living*, mające na celu przekonać czytelników, że powszechna wiara w przeczucia, jasnowidzenia i hanulacye sprawdzające się nie opiera się na urojeniach, ale na doświadczeniach sprawdzonych, i w istocie swej nie sprzeciwia się zasadom wiedzy ludzkiej. Rozważywszy atoli pilnie wszystko, co autorowie wypowiedzieli na poparcia swego twierdzenia, zmuszeni jesteśmy wyznać, że nie zostało ono dowiedzionem, a bodaj nawet czy będzie niem kiedykolwiek. Sama ich istota jest tej natury, że, jak to sam Richer wyznaje, nie da się do nich zastosować żaden ze znanych środków dochodzenia prawdy: ani rozumowanie, ani obserwacya, ani doświadczenie. To znaczy, że mogą one być tylko przedmiotem wiary, która się kieruje pobudkami czysto wewnętrznemi.

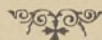
Jakoż w rzeczy samej drogą rozumowania dowieść ich nie podobna, gdyż przeciwią się one podstawowym zasadom psychologii i fizyologii, dla obserwacyi zewnętrznej są niedostępne, gdyż są faktami czysto podmiotowemi, tem mniej jeszcze podlegać mogą doświadczeniu naukowemu, gdyż przedewszystkiem należałoby wiedzieć, w jakich warunkach psycho-fizyologicznych powstają, o czem, jak dotąd, nic zgoła nie wiadomo. Pozostaje więc sama tylko obserwacya wewnętrzna, która w takim tylko razie może mieć pewną wartość naukową, gdy daje się sprawdzić, jeżeli już nie doświadczalnie, to przynajmniej pzez wewnętrzną obserwacyę innych. Lecz o takiem sprawdzeniu, ściśle rzeczy biorąc, mowy być nie może. Przeczucia, jasnowidzenia i halunacye sprawdzające się są dość rzadkie i nie zjawiają się na zawołanie; przytrafiają się one zwykle osobom, które nie dają żadnej rękojmii, że ich spostrzeżenia nad sobą były dokładne, że ich opowiadania są wierne, że pod wpływem wzruszenia do szczegółów, pochwyconych przez obserwacyę, nie zostały dodane takie, które wprost są wytworem bądź fantazyi, bądź wnioskowania bezwiednego. Jak wiadomo podlegają im przeważnie kobiety

i wogóle ludzie nerwowego usposobienia, którzy jak najmniej są uzdolnieni do spokojnej obserwacyi i którym nawet trudno bywa opowiedzieć wiernie to, co się im zdarza. Ważne w tej sprawie znaczenie ma także i ta okoliczność, że w miarę, jak się podnosi stopień oświaty ludności, zjawiska te stają się coraz rzadszemi — i prawie nigdy nie przytrafiają się ludziom, posiadającym naukowe wykształcenie. Nie od rzeczy będzie wspomnieć tu i o ubocznych doświadczeniach, przedsiębranych w celu sprawdzenia przynajmniej jednego z tych objawów — jasnowidzenia. Przed kilkunastu laty Akademia francuska ogłosiła nagrodę kilkudziesięciu tysięcy franków temu, kto odgadnie treść pisma, zawartego w opieczętowanej kopercie. Otóż suma ta pozostaje dotąd nienaruszona w kasie. O innych próbach z jasnowidzącymi robionych z całą ścisłością naukową, nie wspominam, gdyż wszystkie one doprowadziły do wyników, jeżeli nie stanowczo ujemnych, to w każdym razie więcej niż wątpliwych.

Jeżeli nie można bezwzględnie dowierzać opowiadaniom o przeczuciach, jasnowidzeniach i halunacyach sprawdzających się, to tem mniej jeszcze można dowierzać fantastycznym opowieściom o strachach, o pokutujących duchach, które, przebywając w pewnych miejscowościach, niepokoją ich mieszkańców. Należy je po prostu zaliczyć do objawów sugżestyi. Doznajemy zwykle tego, czego się obawiamy i w możliwość jego wierzymy.

Tak się przedstawia spirytyzm, oceniany ze stanowiska faktycznego. Nie lepiej, a bodaj nawet czy nie gorzej, gdy weźmiemy pod uwagę jego stronę teoretyczną. Obrońcy, którym chodzi o jego usprawiedliwienie i uzasadnienie naukowe, uciekają się do przypuszczeń tak awanturniczych i do tak subtelnej dyalektyki, że potrzeba mieć bardzo bujną fantazyę, nie liczącą się z warunkami rzeczywistości, i uczynić rozbrat z logiką, ażeby całą ich gadaninę traktować na seryo i szukać w niej jakichś poważnych dowodów, któreby mogły mieć naukowe znaczenie. Na poparcie powyższego zdania wystarczy przytoczyć, że czwarty wymiar przestrzeni odgrywa w spirytyzmie główną rolę, że w nim to właśnie dokonywa się materyalizacya duchów; że eter powszechny, za pomocą którego duchy materyalizują się, staje się dzięki zgęszczeniu zwykłą materyą, jaką jest ciało ludzkie i inne rzeczy, podlegające spostrzeżeniom zmysłowym.

Władysław Kozłowski.



POWIEŚĆ i POEZYA.

Ranna pobudka*).

Zaledwie dzień się pokazał biały,
W czerwonej wschodząc oponie,
Pierwsze do drogi daje sygnały
Słońce, co płonie.

Gończą wieść niesie, mgła, jak skowronek,
I obłoczysty baranek,
Mówią: jak cudny zejdzie dziś dzionek
Z poza firanek.

Chłodny wiaterek po szkle tej rosy,
Muskając kwiatów kielichy,
Z srebrnych puzonów dobywa głosy,
W obszar ten cichy,

Na smukłem drzewie, zielone szarfy
Jedwabnym liściem — o wióry
Tej melodyjnej trącają arfy,
W łono natury.

Gdzie wszechpotężny archanioł, krzyże,
I listki z światów bezmierni,
Uszczknął na jednej i tej samej lirze —
Z oliw i cierni.

Jaką źrenicą spoglądasz, druhu,
Że widzisz tylko te ranne,
Białe baranki o miękkim puchu,
Nieba te szklanne?

Mają ci mówić: mgły przezroczyste,
Pająki rosne i chłodne
Wiatry, na znak, że niebiosa czyste
Zajdą pogodne?

Że tej sielanki naszej podróży,
O! nie potrafi nic zmącić,
Nawet tu o nią orkan tej burzy
Nie śmie potrącić.

*) Wyjątek z cyklu p. t. »Na Zlot«.

Spojrzyj!... Na niebie zorza różowa
Przewraca oczmi białemi,
Mówią: że księżyc ta trupia głowa,
A to — twarz ziemi.

U niebieskiego niewidny stropu-ż
Na siwym koniu ten rycerz?
Jakby mu rzeźbił hełm i pióropusz
Bóg, a nie snycerz.

I na słonecznym obłęku, wieczne
Wypisał krzywdy na tarczy:
Bo zda się wykuć drogi te mleczne,
Gwiazd mu nie starczy.

Przez muślinowy przegląda welon
Znak rozwinięty tak krwawo,
Nie jednokrotnie, widać, przestrzelon:
Wiatrem? nie — sławą.

Jeździec rumaka pędzi ostrogą,
Po niezmierzonej przestrzeni
Krzeszą się iskry pod końską nogą,
Niebo rumieni.

Czemuż mu nie chce popuścić w biegu
Stalowych okuć u pyska?
Chociaż z podełba, jak płaty śniegu,
Piana mu pryska.

A drugi — patrzaj! — ten bałwan siny,
Naprzeciw niemu tak pędzi,
Jakby połamać chciał wiązkę trzciny,
Lub puch łabędzi.

Zdmuchnąć — jak gasi tutaj i mroczy
Na ziemi wielkie światełka,
Które w zapale dojrzeć przez oczy,
Potem — przez szkiełka.

Ale heroldów, których jak gońce,
Przez ołowiane powietrze,
Przodem wysyła wschodzące słońce,
O! tych nie zetrze.

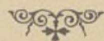
Pierwej roztrąbią: że na firmament
Po rosie spłynie, przez potrysk
Wiatrów przeleci, przez zgiełk i zamęt,
Przez ten wodotrysk.

Dzień w krwi i kurzu będzie kąpany
Jak mak, co pola czerwieni,
Patrzaj! o teraz takim jest tkany,
Całun przestrzeni.

Zwolna już rumień tracą obłoczki,
O! już pierzaste bieguna,
Kręcą po niebie białe swe loczki,
Swoje te runa.

Cudna pogoda! Przez złotą kratę
Słoneczne oko spoziera,
Na pełnem morzu wieńczy fregatę —
Biała bandera

Stefan Komornicki.



Malarz z Poręby.

Obrazek z życia ludu galicyjskiego.

napisał *Kroć.*

Niedaleko od cmentarza, na końcu wsi, stała chata Banarów.

Stary Banar, od kilkunastu lat jak wyszedł z wioski i przepadł gdzieś w świecie bez wieści i, bez żalu u ludzi. Zostawił tylko żonę w tej chacie pod cmentarzem i syna w pieluchach — a nadto we wiosce, u sąsiadów, pamięć po sobie wierutnego złodzieja. To jedno pozostało Marcie po mężu i dzieliło ją odtąd z całym światem i odpychało od ludzi, chociaż rzemiosła męża nie uprawiała nigdy.

Miała przecież i syna któremu »Franek« dano na imię — bo się w styczniu na Franciszka urodził. Zima, w której Marta powiła dziecię, była bardzo mroźną; ptaki zlatywały zmarznięte z powietrza, a gonty na kościele i na pańskich budynkach pękały na dobre — tak, że na wiosnę trzeba było dachy tu i owdzie na nowo pobijać. W Porębie jeden tylko Grzela »co Francuza jeszcze pamiętał«, opowiadał ludziom o drugiej takiej samej. Jeszcze miała być gorszą ta »napolońska« jak ją nazywał.

— Powiadam wam — mówił nieraz stary gwardzista — niczem ta zima!... pod Barazyną to i strzelać nie można było, bo ogień tylko patrzeć jak marzł w powietrzu, a człowiek, ino chuchnął, a dyabli go brali!... Napolion jeden i nasi dotrzymywali furt placu...

Ludzie tylko kiwali głowami na taki termometr Grzeli.

Lecz Franek Banarów, choć się w podobną zimę urodził, nie zamarzł przecie odrazu jak te wrony. Pierwsze trzy lata przekrzyczał się wprawdzie i wypłakał porządnie, ale nic mu się z tego powodu złego nie stało, owszem poczciwe matczysko, patrząc na syna jak usta w trąbę wykrzywiał i wy-

dymał policzki jak miech kowalski, wówczas pocieszała się nieraz tą myślą, że Franek jej wyrośnie z czasem na tęgiego muzykanta, bodaj czy nie na lepszego od ropczyckiego Jośla klarnecisty. Przytem choć nie miał wyścielonej kołyski o biegunach, ani niańki, coby go kołysząc, śpiewała mu tę oklepaną piosenkę »lu-lu!... lu-lu-lu!...« ale miał za to drewnianą, z czterech desek zbitą, wcale obszerną — paczkę, w której z pewnością i dwóch Franków zmieściłoby się wygodnie. A nadto miał przecież i matkę, — a matka, jeszcze taka jak Banarowa, to z pewnością i za dwie kołyski obstanie dziecku.

Mieszkali we dwoje w chacie na końcu wsi. Jeszcze w lecie to tam było pół biedy mieszkać, przynajmniej od deszczu dach ochronił jako tako, ale gdy nadeszła jesień, albo zima, a wiatr zagrał na fujarce ze skostniałych drzew swoją ulubioną kolędę: — »Wio..o..ouch!...«, to nie arcy... było tam mieszkać ludziom i słuchać tego bezpłatnego muzykanta, jeszcze gdy nie było wiórów i trzasek, aby go przez komin z izby wyrzucić. W chacie u Marty były wprawdzie drzwi i okna, ale to nic nie szkodziło, że gdy wiatr zadął z północy, wlatywał przez szpary między drzwiami, wytańczył się między czterema ścianami, zaświszczał w kominie, aż wyleciał gdzieś pułapem, ale tylko chyba na to, aby z powrotem przez rozbite, choć płachtą zatkane okno wlecieć i jeszcze weselej zahuczeć.

— Oto ci muzyka jak w chacie u Marty!... — mówili najbliżsi jej sąsiedzi. Nie daj Panie nikomu takiej muzyki! Na komorne do Marty zjeżdżali na całą zimę: wiatr, zimno, a często i głód. I jak tu mogła opędzić się temu biedna kobiecina i wszystkich ugościć? — Franek ledwie zapłakał, brała go Marta zaraz na rękę i dawała roczniakowi mleka, ale sama przecież musiała coś zjeść, a tu najczęściej nie wiele było w zapasie. W lecie poszła w pole do żniwa, od świtu żnęła sierpem do wieczora, nacięła kopę, jak dobrze poszło a gęste było zboże to półtory — ot! i coś zarobiła. Ale w zimie? ba!... w zimie Marty za nic w swiecie nie wpuszczonoby na robotę do stodoły.

— Jeszcze by co ukradła — mówił ekonom.

— Ho ho!... to złodzieja żona — dodawał gumienny.

— Złodziejka!... poprostu mówili inni ludzie, chociaż Marta nikomu nic nie ukradła, a gdy się dowiedziała o złodziejstwach męża, poszła zaraz do księdza i prosiła go, aby ich rozłączył: »bo ona z takim człowiekiem co kradnie, żyć nie może«. — Ale ludzie się o to nie pytali, w wiosce i we dworze miano ją za złodziejkę, z tej prostej przyczyny, że mąż jej kradł — dla czegoż by i ona tego nie miała potrafić? Sama Marta, skoro już od tak dawna obijały się o jej uszy te wyrazy: »złodziejka«, »ukradła«, gdy od dnia ślubu nie słyszała od ludzi marnego słowa, ale szyderstwa i wyśmiewania tylko, chociaż czyste miała sumienie i rękę nie zbrukaną żadną kradzieżą, choć jej przykro było z początku, z czasem oswoiła się widocznie z tym losem i była pewną w końcu, że już tak chyba musi być na świecie, że ona za męża odpowiada, skoro tak wszyscy ludzie mówią i za taką ją mają. To też nic dziwnego, że gdy się jej syn urodził, leżąc jeszcze na łóżku, słaba, trzęsąc się wzięła go na ręce i podniósłszy, zawołała ze łzami w oczach.

— Franek! to i ty chyba będziesz złodziejem?... — Oczy kobiecie zaświeciły się wówczas jakby jakaś zwierzęca myśl przyszła jej do głowy, podniosła syna do góry, ale wzrok jej widać zatrzymał się na obrazie Matki Boskiej stojącej pod krzyżem bo się, zatrzęsła tylko, przeżegnała i opuściła dziecko zwolna na łóżko, dodając tylko

— Bądźże se złodziejem, byle byś mi tylko nie kradł!...

W trzy miesiące po przyjściu na świat Franka, stary Banar, narobiwszy licznych kradzieży w wiosce i zabrawszy żonie posagowych groszy nie wiele, zniknął gdzieś bez śladu. Marta po kilkuletniem nieszczęśliwem pożyciu małżeńskiem, została teraz sama jedna ze synem. Ha! może to i lepiej dla niej było? — Żyli odtąd w chacie na odludku, ona pracowała całymi dniami, Franek rósł, chociaż był słabowity i mizerny, ale to widać tylko z braku pożywnego pokarmu tak się źle chował, bo jakoś później natura przemogła i zaczął róść jak grzyb o deszczu. W lecie, brała go matka do żniwa ze sobą, kładła na ścierni w chustce zawiniętego między snopami i od czasu do czasu tylko, gdy głośniej zakrzyczał, wówczas zrywała się zaraz, rzucała sierp, i karmiła polnego biedaka. Franek uspakajał się. Wieczo-

rem brała go Marta na ręce i z zarobionymi pieniądzmi, weselsza, wracała do domu. Tu otwierała zaraz zielony kufer, wyjmowała gliniany garnuszek a rzucając część z zarobionego grosza do tej skarbonki, szeptała wówczas tak przytłumionym głosem jak dźwięk tych miedziaków uderzających o gliniane dno naczynia.

— Na zimę!... — dodawała. Na zimę składała, bo jej w zimie nie wolno było robić — a żyć przecież pozwolono.

W całej prawie wiosce, jak nadeszły późne dnie listopadowe, a mrozy chwyciły już na dobre, widać można było z każdej niemal chaty, smugi wijącego się dymu z wiejskich kominów, a blask z roznieconego ognia, zewsząd przez szklanne szyby przeświecał i ludziom w oczy błyszczał. Tylko w chacie u Marty chyba od święta się paliło, bo ani dymu, ani blasku od płonącego łuczywa nie było widać w dzień powszedni.

Wiedziano we wsi dobrze, że »na złodziejce« nigdy się nie pali i przyzwyczajono się do tego widoku; tłomacząc tę okoliczność tem, że Marta widocznie nie umie kraść drzewa, skoro go nie ma.

Łatwo sobie wyobrazić zdziwienie jakie ogarnęło wszystkich, gdy raz w styczniu, w siarczysty, mroźny wieczór, zaświeciło się i zakopciło z Martowej chaty. Ludzie nie chcieli z razu wierzyć oczom, pokazywali jedni drugim światło.

— Tać u Marty się pali!...

— O... o... o!... zkądżeby wzięła?

— A ukradła! nie inaczej! — nawoływali między sobą iudzie, aż wreszcie zgodzono się i doniesiono do dworu: »że Marta drwa z dworskiego lasu ukradła i pali«. — Tego trzeba było tylko ekonomowi, wziął zaraz dwóch fornali ze sobą i poszli, a za nimi gromada ciekawych ludzi.

Właśnie Marta stała przy kominku i gotowała sobie wieczerzę, gdy drzwi się otworzyły i wleciał ekonom a za nim zgraja ludzi.

— A mamy cię ptaszku! — pierwszy zawołał ekonom.

— Złapaliśmy złodziejkę! — dodał któryś.

Przelękniona kobieta nie wiedziała co to wszystko ma znaczyć, cofnęła się mimowolnie w głąb chaty, a przez sine wargi wyjąknęła tylko.

— Com zrobiła?... że..

— Coś zrobiła!? — przerwał jej ekonom — a drzewo zkąd masz?

— Kupiłam — śmiało odpowiedziała Marta.

— Kupiłaś?

— Kupiłam, Bóg mi świadkiem...

— Kupiłaś babo, ale z dworskiego lasu, bez pieniędzy!

— Złodziejko! — dorzucił jeden z parobków.

— Pójdziesz do sądu! — zawyrokował ekonom, a zwracając się do swoich dodał — chłopcy! weźcie to drzewo będzie na okaz.

Marta płacząc rzuciła się do nóg ekonomowi.

Dziś byłam w mieście... uwierzcież mi przecie! — wołała, ale ekonom i ludzie byli już za drzwiami, tylko ze dworu słyszała ich głosy.

— Ukradła!

— Złodziejka!...

Rzuciła się na łóżko i płakała. Ogień zwolna gasł na kominie, ostatnie iskry zatliły — Marta wtenczas już spała. Rano dopiero obudził ją żandarm, który uwiadomiony o wczorajszem zajściu, przyszedł odbyć w jej chacie rewizyę. Zrewidował strych, przykomorek, ale nic nie znalazł, w kuferku dopiero znalazł garnek z pieniądzmi.

Marta przestraszyła się.

— A to co? — zawołał żandarm wysypując pieniądze na stół — skąd to wzięłaś?... mów zaraz!

— Od żniwa jeszcze panie ziandarze — odpowiedziała blada.

— Od żniwa?... — z pewnem zadowoleniem powtórzył żandarm — dobre ty masz żniwa babo! ale lepszą będziesz miała młockę. Poczekaj damy ci ze sędzią żniwo!...

Marta nie wiedziała co odpowiedzieć, na to, oczy zaiskrzyły jej się tylko, po bladych policzkach łzy ściekały a ona wołała boskiej pomocy.

— Mój Boże!... mój... Boże!...

— Lepiej byś do św. Antoniego zmówiła modlitwę — złośliwie wtrącił żandarm, licząc na stole miedziane pieniądze. — Siedm reńskich i trzynaście centów!... z pewnem oburzeniem zawołał, zawijając pieniądze do chustki; a zawiązawszy je na węzełek, brzęknął nimi o stół i odwracając się do Marty krzyknął aż ciarki po niej przeszły:

— Ano! chodźcie teraz do młocki.

— Gdzie mam iść? — pytała nieprzytomna prawie kobieta.

— Do sądu! — sucho odpowiedział żandarm i pociągnął ją za rękę.

— Za co?... mój panie! albo ja... płacząc ociągała się Marta.

— Chodź babo! — tam ci już powiedzą za co, na co i po co?

Nie było rady, Marta zarzuciła chustkę na siebie, otuliła w nią Franka przy piersi i wyszła z chaty; a gdy chciała drzwi zamykać za sobą, żandarm jeszcze zawołał.

— O! boisz się, głupia, i czego? jak kto tu przyjdzie, to pewnie po swoje.

Drogą do powiatowego miasteczka poprowadził żandarm Martę z dzieckiem na ręku, a ludzie ze wsi i ze dworu gdy to widzieli, mówili między sobą.

— Oho! przecie raz będzie siedziała w ciupie.

— Dobrze jej tak... Bóg ją skarał!

Inaczej jednak się stało. Marta stanąwszy przed sędzią zdołała uniewinnić się z pod zarzutów kradzieży. Wskazała gdzie drzewo kupiła w mieście, a byli i tacy ludzie, co widzieli, jak często z sobą przynosiła i zawsze po żniwach uskładanych trochę groszy miała. Pocieszona wróciła do domu. Gdy się wieść po wsi rozniesła, że Marta wróciła, i że sąd ją uznał niewinną, nie chcieli ludzie wierzyć temu.

— Marta nie winna? Marta nie ukradła? a przecież wszyscy mówią że kradnie, a mąż jej przecie był znanym złodziejem! Ho ho! stary Banar to był dopiero złodziej, niczem żona! — I cóż dziwnego ze tak sądzili ludzie prości, którzy nawet czytać nie umieli, ale to dziwniejsza, że i ekonom to samo za drugiemi powtarzał, chociaż kończył jakąś szkołę.

Marta tymczasem żyła dalej, biedną, odosobnioną i jeźli się cieszyła, to tylko swoim Frankiem jak wyrystał z dniem każdym, jak go widziała zdrowszym, silniejszym chłopakiem. Dopieroż to dla niej była prawdziwa uciecha, jak Franek pierwszy raz na nią zawołał: »matuś!« Zdawało jej się, że już teraz będzie mogła z kimś przynajmniej pomówić, skoro Franek gadać zaczyna. Ognia przecież bała się zawsze rozniecać w chacie, a skoro chciała czasem zgotować Frankowi coś ciepłego, pierwej okno płachtą zasłaniała Tak zbiegały im dnie i lata. Franek zaczął mówić, chodzić, już rozumiał nawet wszystko, a nie długo to i pomagać jej zaczął przy robocie, niosąc bodaj garnuszki zanią w pole do żniwa. Ale największą dla obojga było radoscią, gdy Marta z uzbieranych kilku złotych kupiła owcę, a Franek pasał ją na trawie nieopodal od chałupy.

Dzień ledwie zeszedł piękny, wiosenny, słońce jak zapalone łuczywo ciskało snopy iskier, w koło i przędząc zwolna wspaniałą szatę z rozmaitych kolorów, przybierało w nią wzgórza, wierzchołki drzew, strumyki a i zieloną murawę, na której Franek pasał swoją owcę. Na niej, to już żaden listek nie mógł się ukryć przed słońca promieniem. Życie rozpoczynało się od roślin, wnet wzbudzone wzlatywały ptaki, a głos ich budził dopiero ludzi. Franka budziła sojka, która na nieopodal stojącem drzewie miała gniazdo swoje; rano zbudzona brzaskiem dnia, z krzykiem przelatywała nad chatą. Franek ubrany w koszulkę, przepasany z boku kawałkiem czerwonej chustki, szedł boso, pędząc przed sobą owcę na wzgórek pod cmentarzem. »Baś.. baś! Rosa z obmokłych badyli zwilżała mu nogi powyżej kolan i brukała odzież; Franek jedną ręką podtrzymał koszulkę, a w drugiej trzymał kawałek czarnego chleba, który mu matka dała śniadanie. Wielkie to było dla niego zmartwienie wtenczas, gdy ostatni kawałek chleba włożył już do ust; popatrzał zwykle w ręce, to znów za pazuchę, na ziemię — czy mu gdzie nie upadł, ale nigdzie nie było śladu z chleba. Zjadł wszystko! a na drugi kawałek musiał czekać do południa, no! a słonko co dopiero zeszło z po za szczytu »Wilczej góry«, więc czasu było dużo, a do jedzenia nic — ha! i do roboty nie wiele. Owca sama się pasła na jednym miejscu, ani myślała iść w szkodę, ptaki latały po gałęziach, czasem ten lub ów bliżej — podleciał — usiadł, ale gdy tylko ruszył się Franek, aby go złapać — uciekał zaraz.

Jedna owca nie bała się Franka, wszystko inne uciekało od niego — nie chciało go znać. Stojąc na wzgórku, rano, spoglądał często na wioskę, z chat wychodzili jego rówieśnicy, spędzali razem bydło, owce i przy odgłosie fujarek pędzili je na pawstwisko nad rzekę. Im tam przyjemniej było, razem, nad strumykiem, gdzie sieci na ryby zarzucali i nie opodal od drogi, kędy wozy przejeżdzały i ludzie przechodzili w polę i z pola. O! im tam weselej być musiało jak naszemu Frankowi, samemu, pod cmentarzem, gdzie żywa dusza nie zaszła, tylko

czasem chyba, jak umarł kto w wiosce i przyszło go pogrzebać, przechodzili tędy ludzie smutni patrząc w ziemię. Ale to trudno; nad rzekę, na pastwisko nie mógłby iść za innymi, boby go tam nabiły chłopaki z pewnością, a i tak, jak go tylko zdaleka zobaczył jaki rówieśnik krzyczał zaraz:

— Franek złodziej! . . . . odziej.

On sam nie wiedział jeszcze, co to wszystko znaczy, jemu się zdawało, że ludzie, to jak te ptaki, do których się zbliżyć nie mógł, bo zaraz uciekały od niego; słyszał ich głosy czasem z daleka, widział ich twarze, odzienia, ale nie rozumiał ich, nie potrafiłby żyć może między niemi? Żyłby jak ruda mysz między szaremi, — Co prawda, samotność ta nie bardzo mu dokuczała z tej prostej przyczyny, że od pierwszych chwil życia zawsze mu było jednakowo, nawet przypuszczać nie mógł, żeby mu mogło być kiedyś inaczej. On, matka i owca, duży kawałek chleba na śniadanie i ciepły świecący dzień na dworze, stanowiły dla niego życie w sobie zamknięte, ani za bardzo smutne, ale też i nigdy nie za nadto wesołe. Jeżeli można było czego Frankowi zazdrościć, to chyba tego, że on całego otoczenia wśród którego wzrósł, jeszcze nie rozumiał i odczuć nie potrafił. Całe czasem dnie spędzał na pagórku, jeźli nie wpatrywał się swoją parą niebieskich oczów, w błękitny przestwór nieba, to kładł się na ziemi, oboma rękami podparł brodę i bębnił bez miłosierdzia nogami w ziemię, a gdy mu już dosyć było tej uciechy, wpadał na coraz to nowsze pomysły, aby tylko się rozerwać i czemś kolwiek zabawić. Czasem spiewał pioskę, którą go matka nauczyła, o jakiejś sierocie, a rad był gdy mu jakiś ptak z gniazda zawtórował. Duet ten trwał zazwyczaj dotąd, aż tenor zmęczony bezustannem b i s, ochrypnięty, siadał i odpoczywał. Niedługo potem, bawił się już z owcą, mówił coś do niej ciągle, a ona szczypiąc trawkę beczała, chłopak zaś myślał, że to jemu tak odpowiada ładne, czarne zwierzątko

Ot! bawił Franek Franka, jak mógł tylko.

Jednego dnia przecież zabrakło mu już konceptu, nie mógł ani leżeć na ziemi, bo ziemia była po deszczu wilgotną, a on po niedzieli miał świeżą koszulkę na sobie, przytem niebo było pochmurne, a ptaków jak na złość czegoś nie widać było po gałęziach. Zaczął więc śpiewać,.. Jedna tylko sroka skrzecząc podrzeźniała mu się. Franek rozgniewany zgonił ją z gałęzi, uciekła na drugą — on za nią w pogoń. I tak nie spostrzegł się jak zaleciał na cmentarz i srokę zgonił z jakiegoś krzyża na grobie. Strach go teraz dopiero ogarnął, nie wiedział zrazu co robić, bo chociaż tyle lat w tak bliskiem żył sąsiedztwie i owce nie opodal pasał od cmentarza, przecież nigdy nie był na tyle odważnym, aby sam tam zajść kiedy i oglądać te rzędy czarnych i białych krzyżów, pod którymi, jak mu matka mówiła i pokutne dusze żyją..

Opowiadania matki utkwiły mu żywo w pamięci. Widok cmentarza z blizka, cienie pochylonych płaczących wierzb nad grobami, długie rzędy pagórków glinianych, na każdym z nich krzyż zgarbiony — wszystko to obudziły w niem dziwne uczucie strachu. Franek bał się żywych ludzi, a cóż dopiero nieboszczyków, którym się „z gęby i oczu świeci". Zimno przeszło po całem ciele, chciał uciekać, ale bał się, aby go z tyłu co nie złapało, ukląkł więc przed krzyżem kamiennym i dygającemi wargami przeżegnał się.

— W Imię... Ojca... i Syna... i Du!... — ale ostatniego słowa bał się na głos wymówić, stanął w połowie i jak raz koniec »Ducha« nie chciało mu wyjść z gardła, bo myślał, że zaraz wywoła jakiegoś nieboszczyka z ziemi, o których mu matka tyle opowiadała. Milcząc więc i trzęsąc się, wlepił oczy w czyjś kamień grobowy.

Na kamieniu wymalowany był człowiek w takiej samej jak on koszuli, takie same miał oczy, nos, włosy; a obok ptak jakiś czy człowiek, biały, ze skrzydłami, prowadził tamtego za rękę. — Franek oczom nie wierzył, przybliżył się do krzyża i w patrywał się długo w malowany obraz, jakby się chciał zapytać.

— Co to?....

— Duchy!... coś mu szeptało do ucha.

— Brr!.. wstrząsł się cały i chciał już uciekać, ale patrzy, a te duchy jak stały tak stoją, ani myślą go łapać. Jeszcze jeden z nich miał taką uśmiechniętą twarz, jakby mówił do niego.

— Nie bój się Franek, nic ci nie zrobię!.. Więc też Franek nabrał teraz trochę odwagi. Takie to duchy! — pomyślał sobie — to

nie takie znów straszne, gorszy przecież Walenty, sąsiad z niedaleka, co go tyle już razy kijem okładał. Zdziwiony przybliżył się jeszcze do malowidła, a wyciągnąwszy rękę dotknął się palcem obrazu, a nie długo to już i obwodził do okoła figurę malowaną i nie bał się niczego.

Obraz malowany był na kamieniu. Pierwszy raz w życiu oglądał Franek coś podobnego. Widział wprawdzie wizerunek Pana Jezusa w kościele i Matki Boskiej nad łóżkiem matki, ale te nie zwróciły tak jego uwagi, jak ten, w który się teraz bezustannie wpatrywał. Na obrazie niebo było takie samiusieńskie jakie widział co dzień z pagórka, a trawa taka sama zielona, jak gdyby po deszczu na dworze, a i oczy niebieskie, jasne włosy, czerwone lica i różowe wargi jak koralowina — wszystko takie same było co do joty, jak u żywych ludzi.

Franek był ucieszony z tego co widział, choć wieczór już zachodził, jeszcze mu się nie chciało wracać do domu, a skoro tylko wrócił, zaczął zaraz matce opowiadać co widział.

— Matuś! matuś!... a to ci Franek widział na cmentarzu.

— Coś widział?... spytała go matka z pewnem zaniepokojeniem.

A duchy!... te o których gadaliście nie raz.

Marta przeżegnała się.

— Plecież Franek!...

— A nie! ino jeden był jak człowiek, a drugi jak ptak ze skrzydłami. Patrzę a oni nic!... gadam do nich — a oni nic!... tylko ten ze skrzydłami się śmieje. Myślę sobie: to ci duchy?... Jutro zaraz pójdę tylko wstanę — śmiejąc się odpowiedział chłopak.

Marta domyślała się, o jakich to duchach mówił jej Franek, więc mu zaraz wytłómaczyła, że to nie duchy żadne, ale malowidło na grobie Urbana Grządzieli, który był tu we wiosce przed laty malarzem, kościół i krzyże po drogach malował, a przed śmiercią sam sobie krzyż taką jasnotą wymalował. Franek słuchał i dziwił się, że to człowiek potrafi takich ludzi malować— ino im gadać, jakby żywi, no a niebo to już takie, jakby na nim słonko świeciło. To też mu tej nocy nie dał usnąć grób Urbana Grządzieli, ale ciągle stawał mu w oczach, ten człowiek w sukmanie i anioł ze skrzydłami, a Franek czekał tylko rana, aby co rychlej wstać i iść tam i patrzeć choćby do wieczora.

Ze świtem był już na nogach. Zarzucił koszulę, chleb schował za pazuchę i poleciał na cmentarz. Owca sama poszła na wzgórek i pasła się. Franek przypadł do kamienia; patrzy — a obraz taki sam jak wczoraj, jeszcze ładniejszy, bo go słońce badziej oświecało. Po chwili siadł na grobie Urbana, a nie spuszczając oczu z malowidła, przypatrywał mu się ze wszystkich stron.

— Franek! żebyś to ty tak potrafił? — pomyślał sobie, a oczy zaświeciły mu się jakby węgle w nocy. — He! żebym ino wiedział co to za kamień co tak smaruje? I zadumał się, spuścił oczy, a szczypiąc trawę na około siebie, bezwiednie tarł nią o białą koszulkę, aż się zazieliniła.

Grób Grządzieli obrośnięty był przez różne kwiaty, które wiankiem oplotły go i barwnie zdobiły. O zieleni to już mowy nie było, tyle jej tam rosło w około, a w pośrodku niej przeglądały biało-żółte rumianki a dalej jak śnieg białe wązki konwalji, i ogromny pęk koralowiny. Franek spojrzał na trawę: wpadły mu zaraz w oczy te kwiaty i pierwszy raz bliższą zwróciły na siebie uwagę. Patrzy: a ten kwiat konwalii to taki biały jak ten ptak na obrazie (matka mu mówiła, że się »anioł« nazywa), a koraloviną, jakby tym ludziom kto usta ponawlekał, no a trawy to już chyba posiał ktoś na obrazie, ino owce zagnać.

— E!... — myśli sobie Franek — takiś to ty mądry Grządzielu? a toś to ty te zioła brał i smarował niemi kamień, bo takie samiuteńkie wszystko!.. Zerwał zara całą garścią pęk ziół i kwiatów i nuż jeździć niemi po kamieniu, aż sobie rękę do krwi zadrapał. Patrzy, aż się roześmiał na głos z radości; cały spód kamienia zasmarowany był na brudno-zielono-czerwono. Gdzieniegdzie tylko wśród tej pstrokacizny jakiś kolor bardziej przeświecał, a najbardziej krew z jego ręki. Podobieństwa co prawda, trudno było tam dopatrzeć, między malowidłem Urbana Grządzieli a smarowaniem jego ucznia, ale Franek taki był rad z tego wszystkiego, że nie wiedział z razu co robić, czy rwać dalej trawę i smarować nią, czy też patrzeć i oglądać. Byłby z pewnością cały grób i obraz nawet zasmarował, gdyby nie krew co mu z ręki ciekła i spadała na kamień sznurkiem

korali. Franek syknął tylko i palce obłożył dużym zielonym liściem. Po chwili smarował już nim krew po kamieniu, jakgdyby mu nigdy nic nie było. Zygzaki niestworzone, jakby astronomiczne figury, zarysowały się nabiałym kamieniu, a nasz Franek nie pytał się, tylko mazał dalej po płycie, a jak krwi nie stało to brał jagodę koralowiny, a później kwiat rumianku i listki konwalji, aż zrobił nareszcie na grobie Urbana Grządzieli dziwnie mieszaną mozajkę z trzech kolorów. Pomimo to, podobało mu się to wszystko tak dalece, że postanowił odtąd stale malować groby tutejszych nieboszczyków, jak dziś grób uczcił Grądzieli, swojego mistrza.

Od pamiętnego tego dnia,... w którym poczuł w sobie rafaelowską iskrę Bożą, był nasz Franek odtąd stałym już gościem na cmentarzu, przychodził rano a odchodził wieczór. Co dzień to robił nowe wynalazki i postępy w swoim zawodzie. Dopiero to była uciecha jak narysował pierwszy, duży, czerwony, niekoniecznie prosty krzyż na na drewnianej tabliczce. Zaraz pobiegł do matki i pokazał go. Matce zajętej robotą, ani tam w głowie było podziwiać malarskie zdolności syna, zresztą nie o wiele lepiej znała się na tej gałęzi estetyki, jak jej syn — artysta. Zbyła go niczem.

Nie ubiegło dwa tygodnie, a Franek malował już na krzyżach cmentarnych, jakieś kółka z dwoma dziurkami, jedną prostopadłą, a drugą poziomą kreską i nazywał to głową, a jak ją na dół przedłużył i dodał po parze kresek u góry i u dołu — to skoczył z radości, jak gdyby stworzył pierwszego człowieka. Nie długo już malował owcę białą o czterech czarnych nogach, potem chatkę matki z oknem i drzwiami, chciał i komin dorysować i dym z niego wychodzący, ale się obawiał, żeby się ludzie o tem nie dowiedzieli, boby zaraz mówili, że matuś jego, drzewa kradnie i podpala.

I tak schodziły mu dnie, a on śpiewać zapomniał i nie bębnił już więcej nogami w ziemię i za ptakami nie gonił, tylko smarował krzyże i kamienie, to rumiankiem, to koralowiną, to liśćmi na przemiamy i z pewnością zasmarowałby cały porębski cmentaz od góry do dołu, gdyby nie smutny obrót jaki cała sprawa wzięła.

Jednego sierpniowego dnia, odbył się pogrzeb zamożnego gospodarza z tej wioski. Ludzi wysypało się dużo na cmentarz. Gdy już mogiłę zmarłego przysypano, ten lub ów poszedł jeszcze zmówić »Zdrowaśkę«, na grobie kogoś ze swej rodziny. Jakież było zdziwienie i zgorszenie pobożnych gospodarzy, gdy na krzyżach cmentarnych zobaczyli wizerunki baranów, ptaków, na jednym był pies czy kot — no, a chałup i postaci ludzkich to było już bez liku, jedne więcej, drugie mniej podobne.

Kto to taki? — pytali gospodarze między sobą, żegnając się ze zgorszenia.

— Pan Bóg go skarze za to świętokradztwo! — dodał jakiś wysoki włościan.

— Pan Bóg swoje zrobi — wtrącił Walenty — ale i od nas powinien dostać nauczkę.-. ma się rozumieć! bo to nie inaczej tylko złość ludzka potrafiła, a rozum dyabelski wymyślił.

— A wyż wiecie kto to? he!...

— A nie kto inny tylko ten złodziejczyk mały — odpowiedział bez namysłu Walenty, pokazując ręką na Martową chatę.

Szmer przeszedł po słuchających, potakiwali jedni drugim.

— Może być, a widzicie!... a to! .. Łotr! łotr! — Walentego głos słychać było najdalej.

— Et! gadacie też, chłopak za mały na takie ćpasy! — wtrącił któryś rozsądniejszy.

— Mały jak mały, dziesięć lat kończy złodziej — stojący obok kum dodał.

— A może być — to złodziejskie plemię z ojca za syna!

— Złodziej! złodziej!... — dorzucali jedni po drugich gospodarze.

Walenty stanął i zaczął mówić.

— Trzeba nam donieść do księdza i do wójta. Ksiądz chyba że poświęci na nowo cmentarz, a wójt niechże złapie złodzieja... ma się rozumieć!... Ho! ho! ja na pewniaka pójdę, że to nikt inny tylko ten psi syn zrobił, już ja go tu nie na darmo kilka razy na cmentarzu wiedział, a owce nie daleko ztąd pasie. A... a... na chałupie Marty pełno nasmarowanych takich samych bezbożności.

Stojący obok zaczęli kiwać głowami.

— Chyba wygnać ze wsi tych łotrów? — przerwał jeden.

— Albo oddać do sądu — dodał Walenty,

— Ale pierwej wypada oddać do wójta — zawyrokował jakiś radny porębski — a po-

tem iść do księdza proboszcza i powiedzieć mu, że się znalazł jakiś djabeł we wsi — ludzie splunęli — i co po śmierci nie daje ludziom spokoju i że go trzeba oczyścić... albo co?

Nie długo cała wieś wiedziała o wszystkiem, ludzie, co byli w polu, spieszyli na cmentarz, aby oglądać czy i ich krzyże nie zbeszcześcił ten »ancychryst», jak go raz nazwano. Spora gromada ludzi starych i młodych, a między nimi wiele bab, zebrało się i zaczęło rozwodzić swoje lamenta i żale. Jakaś stara baba darła się na cały głos.

— Nie pójdziesz już, mój Onufreńku, do nieba! nie pójdziesz!...

— Milatyński Jezu!... O'la Boga Świętego!... a tom się doczekała na stare lata pociechy.. .o rety! rety!...

A tym czasem ludzie radzili co robić.

— Do księdza!...

— Do wójta!...

— A ja wam powiadam — zakrzyczał potężnym głosem tenże sam Walenty — idźmy najsamprzód do tej złodziejskiej chaty, zabierzmy babę i jej syna... ma się rozumieć! a dalej co będzie to będzie.

— Idźmy! — krzyknął któryś gospodarz.

— Idźmy! — powtórzyli inni, i cały tłum ludu ruszył prosto z cmentarza ku złodziejskiej chacie.

(Ciąg dalszy nastąpi).



ECHA POLSKIE.

Bracia z za morza.

Droga sercu polskiemu uroczystość odbyła się na wystawie: otwarcie pawilonu polsko-amerykańskiego. Dnia 21. czerwca o godz. 11. rano zebrał się prawie cały komitet wystawowy z ks. Adamem Sapiehą na czele, a ze strony Polonii amerykańskiej pp. Erazm Jerzmanowski, Szwajkart, Ks. Oprychalski, Dr. Żołnowski, Kokociński i inni. Prócz tego wzięło w tej uroczystości udział wiele osób zaproszonych i reprezentanci prasy. Po przemowie p. Jerzmanowskiego i odpowiedzi ks. Sapiehy nastąpiło zwiedzanie pawilonu, zbudowanego w kształcie farmy północno-amerykańskiej. Zebranych oprowadził prof. Dr. Dunikowski, który najwięcej przyczynił się do urządzenia działu polsko-amerykańskiego na wystawie. W dziale brazylijskim oprowadzał prof. Dr. Siemiradzki. Po zwiedzeniu pawilonu zaprosił gości p. Kokociński do »saloonu« amerykańskiego, gdzie zebrani spędzili kilka przyjemnych godzin, rozprawiając głównie o stosunkach naszej kolonii w Ameryce.

To dopiero początek.

Na pierwsze dni sierpnia zapowiedzianą jest gromadna wycieczka na wystawę naszych braci z za morza. Będziemy mieli sposobność tedy jedyną może do wzajemnego poznania się, zbliżenia i pomyślenia o praktycznem wprowadzeniu w życie idei łączności między emigracyą amerykańską a macierzystym krajem.

Kto interesuje się sprawami narodowemi, i przejrzy roczniki *Przeglądu emigracyjnego* a potem w pawilonie polsko-amerykańskim oglądnie owoce pracy naszych rodaków, fotografie olbrzymich kościołów i całego szeregu szkół pobudowanych w ciągu ostatnich lat kilkunastu w północnej Ameryce za grosz składkowy ciężko pracujących robotników, farmerów i rzemieślników polskich — ten poczuje i zrozumi, jaka niespożyta siła i energia drzemie w naszym ludzie, który wśród korzystnych warunków wolnej ziemi amerykańskiej tak szybko się cywilizuje i rozwija.

Nie zapominajmy o nich i popierajmy usiłowania tych jednostek, które odczuły i zrozumiały ważność wspólnej pracy narodowej. A przedewszystkiem poznajmy i nie lekceważmy pracy braci naszych z za Oceanu!

* * *

Dalsze kłopoty z pomnikami.

Jeden z przyjaciół naszego pisma przeczytawszy notatkę w przedostatnim numerze *Słowa polskiego* o kłopotach z pomnikami zwrócił naszą uwagą na stan, w jakim znajduje się jedyny pomnik, zdobiący miasto Lwów.

Pomnik ten wystawiło wdzięczne miasto Lwów swemu bohaterskiemu obrońcy, hetmanowi Jabłonowskiemu.

Lecz wdzięczne miasto rychło zapomniało o wdzięczności, a dzisiaj pomnik ob-

drapany i niemal pozbawionych napisów (bo litery, które straciły pokost farby i nie są czytelne, nie mogą być nazwane napisem) smutnie świadczy o gospodarce i porządkach sławetnej stolicy Rusi czerwonej.

Jeżeli miasto właścicielom domów kazało fasady odnowić na wystawę to mogłoby początek zrobić w własnym domu: odnowić ratusz i przywrócić do porządku odrapany pomnik.

Nie zawadzi przy sposobności przypomnieć, co też słychać z pomnikiem Jana III. i z pomnikiem Kilińskiego? Pieniądze podobno były, jakieś projekty ogłaszano, nawet miejsce wybrano i wspaniała tyka długi czas je zdobiła — wartoby więc wiedzieć, czy jeszcze w 19 wieku będziemy oglądali owe dzieła sztuki dla Lwowa przeznaczone, czy też podobnie jak z teatrem troskę i przyjemność przekażemy naszym potomkom w następnem stuleciu.

* * *

Dr. in partibus infidelium.

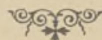
Kiedy Spencer, największy filozof naszego wieku, obchodził przed kilkoma laty jubileusz zasłużonej, pożytecznej i wszechstronnej swej działalności na polu naukowem, najsławniejsze uniwersytety świata, jak boloński, postanowiły uczcić głęboką jego wiedzę i niezmordowaną pracę, szczególniejszem i odznakami hołdu. Spencer, choć wielki uczony i o głowę przerastający wszystke katedry świata, nie miał dotychczas żadnego patentu doktorskiego na swoją wiedzę, któryby go uprawniał należeć i ciałem do cechu naukowego, przepraszam, wyrażę się ściślej, uniwersyteckiego. Cóż robią uniwersytety, oto profanują znane imie Herberta Spencera, złocą je na oślej skórce, z dopiskiem „*Dr. ph. honoris causa*“ i posyłają uczonemu do Londynu. Spencer, który przed światem zdał już z pięćdziesiąt takich rygorozów, do jakich i zapytania Doktorowie Cwiklińscy *et tutti quanti*, nie byliby wstanie postawić, nic dziwnego, że z podziękowaniem odesłał uniwersytetom zwoje oślich skór z dopiskiem, który na polskie po prostu przetłomaczyć należy „retour — próbki bez wartości“.

W krótce potem znalazł się drugi i trzeci Spencer, nic dziwnego, że towar doktorski zaczął tracić na nominalnej wartości, a cech, zaczął nie przebierać już odtąd w mózgach i liwerować honorowy tytuł, gdzie się dało i komu się dało, byle tylko z korzyścią. Naraz wszyscy następcy i wnukowie koronowanych głów zostali „honoris causa“, kolegami szafarzów tego naukowngo eliksiru. Cech pomnażać się zaczął bankierami, co swoim kosztem wydali parę dzieł kosztownych o złoconych brzegach, podróżnikami do ojczyzny pergaminu, ministrami od zgaszonych lamp wielkości i t. d.

Nasz uniwersytet lwowski nie mógł pozostać w tyle za przykładem starszej swojej braci, tem bardziej, że na składzie psuć się podobno już zaczął materyał na nankinowe spodnie nauki. Wybrańcem losu został Namiestnik hr. Badeni — którego też niewiedzieć za jakie grzechy zaszczytem honorowego doktora filozofii uraczono. Profesor od abecadła łacińskiego, Drrr. Ćwiklińsi miał bombastyczną mowę przy wręczeniu futerału. Namiestnik, podobno, najnowsze odznaczenie przyjął chłodno i ze spokojem, nie przyrzekając w zamian żadnego futeraliku, choćby o mniejszej lecz gęściejszej zawartości. I nie dziwimy się temu zupełnie. Namiestnik dzisiejszy jest już Dr. praw Badenim i to z najbardziej honorowej przyczyny, bo uczenia się i zdania egzaminu; na filozofię, przypuszczamy, że nie ma nawet czasu, a gdyby miał, sądzimy, że równie dobrze zdobyć by się mógł i na ten certyfikat.

Obywatelstwo honorowe — daje się w dowód zasług obywatelskich, jeśli kto je za korzystne dla kraju i społeczeństwa ocenia, ale stopień naukowy, jesli ma już posiadać jakąś wartość — powinien być udzielany za czyny naukowe, nie trącić polityką — a tem bardziej cuchnąć prywatną chęcią przypodobania się i małodusznością. Cóż za wzór dla młodzieży, jakiż pilnik na charaktery!

Jakby to naprzykład wyglądało gdyby p. prof. Dr. Ćwikliński ni ztąd ni z owąd został mianowany n. p. biskupem *in partibus infidelium*. Więc czemuż drugim każesz, panie profesorze, śnić o filozofach, co z głodu pomarli — a sam nie miałbyś ochoty cichej mszy odprawiać przy swej katedrze?



ROZMAITOŚCI.

Wiadomości osobiste. Od tygodnia bawi w naszem mieście czcigodny nestor powieściopisarzy polskich, *Zygmunt Miłkowski (Teodor Tomasz Jeż).*

Szanowny i tak drogi dla każdego Polaka-demokraty gość był przyjmowany uroczyście najwpierw w Iwoniczu, gdzie się zatrzymał przez dni kilka u syna, a we Lwowie d. 7. b. m. na wystawie (w halli koncertowej) zebrało się przeszło 100 osób, reprezentujących wszystkie warstwy społeczeństwa, aby oddać hołd wielkiemu pisarzowi, zasłużonemu bojownikowi za wolność i obywatelowi, który wysoko podniósł sztandar idei demokratycznej.

Szanowny Pułkownik gości u swej córki, p. Gawrońskiej, małżonki p. Fr. Rawity-Gawrońskiego i ma zabawić we Lwowie do końca miesiąca.

Z Warszawy. *X. Y.* pod d. 7 b. m. donosi, iż 160 i kilku osobom, aresztowanym z powodu manifestacyi 17 kwietnia, rozkazano wyjechać w głąb Rosyi (do gub. północnych lub wschodnich) po odsiedzeniu wyznaczonej kary ($1\frac{1}{2}$, 2, 3 i 4 miesiące więzienia). Literatów M. Brzezińskiego, Wł. Jabłonowskiego i redaktora „Głosu" Józefa Potockiego (M a r y a n a B o h u s z a) osadzono w końcu maja w X. pawilonie. Po odsiedzeniu 4-ch miesięcy w cytadeli p. Potocki będzie zesłany do jednej z północnych gub. Wyroki powyższe wydano w drodze administracyjnej, nie przeprowadzając żadnego dochodzenia sądowego, opierając się nieraz na zeznaniach tajnych agentów.

Konkurs malarski ogłasza kom. Tow. zachęty sztuk pięknych w Warszawie na styczeń 1895 r. Przyjmowane będą: obrazy olejne, akwarele, miniatury, pastele, kartony i rysunki, wykonane w ciągu trzech ostatnich lat, jeżeli nie były na żadnej z wystaw Warszawy. Termin nadsyłania deklaracyi do 15. grudnia b. r.

Fundacya Kościuszkowska w Poznaniu. Pod tem wezwaniem zawiązał się komitet obywatelski, który wzywa do składek. Celem fundacyi — oświata.

Pomnik Władysława Niegolewskiego stanął na cmentarzu w Buku w Poznańskiem. Uroczystość odsłonięcia odbyła się 27 czerwca.

»*Landwehrverein*« jakiś w W. Ks. Poznańskiem zebrał 3000 marek z celem wystawienia na Myszej Wieży w Kruszwicy pomnika... Wilhelmowi I.

Walne zgromadzenie „Związku katolików szlązkich", na którem ks. Świeży zdawał sprawę ze swej działalności poselskiej i bezowocnych zabiegów w Kole Polskiem, uchwaliło wyrazić wdzięczność najgłębszą kilku posłom polskim za zajęcie się w tak braterski sposób sprawą szląską. Żądanie, aby ks. Świeży wystąpił z Koła polskiego, tymczasowo nie zostało uchwalonem.

Wychodźtwo do Syberyi włościan z Królestwa Polskiego wzmaga się. W Niższym Nowogrodzie widziano całe partye polskich chłopów, zdążających na daleki wschód.

Konkursowe nagrody za plany gmachu dla kolei skarbowych we Lwowie otrzymali uczniowie politechniki lwowskiej: pierwszą architekt Bauer, drugą Alfred Broniewski i Adolf Kamieniobrodzki, trzecią Doliński.

Rozprawa sądowa o konfiskatę Nr. 36 Nowej Reformy z d. 15. lutego odbyła się w Krakowie d. 3. b. m. przed trybunałem karnym. Wydawca p. Lesław Boroński oskarżony o nieprzyjęcie konfiskaty gazety na wezwanie funkcyonaryusza policyi umundurowanego, ale bez upoważnienia pisemnego, jak wymaga prawo, skazany został na 1 dzień aresztu, względnie 5 złr. kary. Obrońca zgłosił zażalenie nieważności. Drugi oskarżony p. Andrzej Krzyszkowski (o wydanie gazety na polecenie wydawcy) został od winy uwolniony.

Konfiskaty: »Kurjera Lwowskiego« Nr. 178 z d. 29 czerwca został skonfiskowany.

»3,765,702 analfabetów«. Taki napis nosiła broszura p. Danielaka wydana w Krakowie. Cyfra ta, ponieważ prawdziwa, niepodobała się; polecono więc zedrzeć okładkę. Goście wystawy lwowskiej byli świadkami barbarzyńskiego aktu obdzierania broszury z szaty zewnętrznej. Następnie po takiem obdarciu samą broszurę skonfiskowano, gdyż nie była cennikiem kupieckim, ale zachęcała do składek na »Tow. Szkoły ludowej« i była rozdawaną, a to w Austryi zabronione.

Wiec ludowy w Limanowej, na 30 czerwca odbyty z inicyatywy związku stronnictwa chłopskiego, uchwalił na przyszłość wybierać do Rady państwa i Sejmu na posłów jedynie zwolenników bezpośredniego powszechnego prawa głosowania i przyłączenia obszarów dworskich do gminy.

Proces przeciw wydawcom »Naprzodu« organu socyalistów, w Krakowie zakończył się uwolnieniem oskarżonych. Tylko Reger za kolportarz skazany został na 2 dni kozy lub 10 zł. grzywny

Gimnazyum prywatne w Krakowie otwierają z nowym rokiem szkolnym pp. Babirecki i Szwejger.

Szkoła politechniczna we Lwowie święci uroczyście d. 10 b. m. 50-lecie swego istnienia. Ustawa dotąd prowizoryczna organizacyi Szkoły uzyskała najwyższą sankcyę. Na 12. lipca zwołany został zjazd b. uczniów szkoły.

Teichman, prof. anatomii uniwersytetu krakowskiego z powodu wieku ustępuje z katedry.

Dr. Jan Baudouin de Courtenay, docent przy katedrze językoznawstwa uniwersytetu Ja-

giellońskiego otrzymał tytuł zwyczajnego profesora.

Rada miasta Lwowa na delegata do szkolnej rady krajowej na dalsze trzechlecie wybrała prof. uniw. Dra Teofila Ciesielskiego, człowieka znanego ze swej energii i cywilnej odwagi.

Wyścigi w Krakowie tegoroczne nie powiodły się naszym pankom, gdyż wszystkie większe nagrody przypadły w udziale obcym hodowcom, a publiczność Krakowa, którą powołano do opłacenia kosztownej zabawki, mały bardzo przyjęła udział.

Zjazd b. słuchaczów uniwersytetu kijowskiego zwołany do Lwowa na d. 23 lipca.

Szkoła przemysłu drzewnego ma być otwartą z d. 1 października r. b. w Kołomyi na wzór szkoły zakopańskiej, a z celem uprawiania stylu huculskiego, którego piękne okazy można widzieć na wystawie w dziale etnograficznym ruskim.

Pawilon dziennikarsko-fotograficzny na wystawie został czasowo zamknięty zapewne celem uporządkowania i poprawy na lepsze.

Tow. nauczyli szkół wyższych odbędzie d. 15 b. m. dziesiąte walne zgromadzenie i dnia następnego przyjjmie udział w kongresie pedagogów.

Na kongres pedagogów, zwołany na dzień 16—18 b. m. zgłoszono 42 referaty. Uczestników zgłosiło się przeszło 1000.

VI. zjazd kupców i przemysłowców polskich zwołany do Lwowa na d: 19 do 21 sierpnia.

Zlot sokołów do Lwowa ponownie zwołany został na 14 i 15 d. b. m.

Uczestnicy powstania 1863 r. odbyli d. 29 czerwca walne zgromadzenie, a d. 8 lipca urządzii festyn na Zamku Wysokim z uroczystym pochodem wojsk polskich w strojach historycznych.

„Mściciele Czechii“, związek, mający na celu pomszczenie Omladinistów, zasądzony został przez sąd wyjątkowy w Pradze. Z trzech oskarżonych skazano dwóch na *12* lat ciężkiego więzienia, obostrzonego postami ciemnicą i twardem łożem raz na kwartał.

„Młoda Rumunia“, stowarzyszenie pań w Czerniowcach zawiązało się celem krzewienia języka rumuńskiego. Stowarzyszone zobowiązują się słowem, że innego języka używać nie będą.

Sztunda, w guberniach małoruskich, jak donosi *Kijewlanin*, w ostatnich czasach nadzwyczaj szybko się rozwija, zmieniając przytem pierwotną swą formę. Dawniej sztundysta rozpoczynał swe odszczepieństwo od tego, że obrazy św. wynowił na ulicę i rąbał publicznie, że głośno propagował swe zasady; dziś zupełnie inaczej postępuje: ukrywa się pod pozorami najgorliwszego wyznawcy prawosławja — chodzi do cerkwi, dzieci nawet posyła do szkółki cerkiewnej. Korespondent „Kijewlanina“ utrzymuje, że ta forma odszczepieństwa o wiele jest groźniejszą, niż dawniejsza (n a t u r a l n i e dla caratu; gdyż sztunda krzewi ideje równości i braterstwa, oraz podtrzymuje ducha narodowego wśród rusinów).

Prawosławje w Warszawie. Przed miesiącem odbyło się poświęcenie ogrodzonego już miejsca na placu saskim, gdzie ma stanąć kolosalnych rozmiarów sobór. Plac cały został oparkaniony, w pobliżu pomnika wystawiono w »ruskom stile« *czasowię* (kaplicę), w której dniem i nocą zbierają ofiary na przyszły sobór. Z obu frontów tuż przy parkanie umieszczono na wysokich żerdziach prawosławne krzyże. — Obecnie komitet budowy soboru otrzymał pozwolenie przeniesienia z placu Saskiego na Zielony sławetnego pomnika, wzniesionego na cześć tych, co w r. 1830 »legli za wierność swemu monarsze«. O pomniku tym Warszawianie powiadają:

Czterech orłów, ośmiu lwów
Strzeże siedmiu kpów.

Przebudowa gmachu dawnego pałacu Staszica na Krak.-Przed. posuwa się ciągle naprzód, i cerkiew tam istniejąca będzie rozszerzoną. Była tu niegdyś kaplica, wzniesiona przez Zygmunta III, w której spoczywały zwłoki carów Szujkich. »Gmach główny gimnazyum I — pisze korespondent »Now. Wr.« — przebudowany będzie w stylu bizantyjskim, będzie upiększony kopułą z krzyżem i pozyska wygląd monumentalny. Tak więc miejscowość historyczna, w której pogrzebiony był zmarły w niewoli władca moskiewski, będzie uświęconą przez przebudowanie w niej wspaniałego gmachu z cerkwią. Nie ulega wątpliwości, że widok przebudowanego gmachu I gimnazyum, przypominając wychowańcom rosyjskim jednę z kart dziejów ojczystych, będzie w nich utrwalał uczucia narodowe, które czasami bywają zagłuszane w zagnanych (!) tutaj losem (?!) dzieciach rosyjskich. Nie od rzeczy będzie dodanie tu pogłoski, jakoby dom hr. Łubieńskich przy ulicy Królewskiej, w którym dwa razy gościł Piotr Wielki podczas przejazdu przez Warszawę, miał być niebawem przebudowany. Trzebaby na ścianach tego domu umieścić tablicę przypominającą o mieszkaniu w nim Piotra Wielkiego i ustawić przed domem biust wielkiego cesarza«. — *Now. Wr.* uszczęśliwia nas nowym projektem!

Zmarli: *Ignacy Niesiołowski*, żołnierz waleczny z 1848 i 1863, więzień stanu i tułacz, zmarł w Poznaniu.

Egidyusz Tomasz Kusztejko, major wojsk rosyjskich, następnie pułkownik wojsk narodowych z r. 1863, zmarł na Zamarstynowie, pochowany na cmentarzu wiejskim w Hołosku pod Lwowem.

Stanisław Daukszo, oficer wojsk rosyjskich, następnie wojsk narodowych z r. 1863, zmazł w Rakowicach pod Krakowem.



BIBLIOGRAFIA.

Arcydzieła dramatyczne Szekspira wydaje zeszytami pod redakcyą dra Biegeleisena Księgarnia Polska we Lwowie, uzupełniając warszawskie wydanie redakcyi Kraszewskiego, a tłómaczenia J. Paszkowskiego i St. Koźmiana tłómaczeniami Jana Kasprowicza. Całość wyjdzie w ciągu roku.

„**Próba badań** nad żywieniem się ludu wiejskiego w Galicyi« opracował i wydał w Krakowie prof. dr. Napoleon Cybulski.

Polskie Towarzystwo Handlowo Geograficzne, Lwów, 1894. str. 23. — nakładem Tow. tegoż imienia.

Broszura powyższa oznajamia czytelnika z zasadami P. Tow. Handl.-Geogr., którego »celem będzie popieranie przemysłu i handlu polskiego przez wyszukiwanie nowych rynków zbytu, nawiązywanie bezpośrednich stosunków handlowych, oraz udzielanie dokładnych informacyi o stosunkach ekonomicznych innych krajów«. Cele powyższe Tow. pragnie osiągnąć przy pomocy rozprószonego po całym świecie wychodźtwa. Na końcu broszury zamieszczono statut Towarzystwa.

Dźwignia zostaje z dniem 10 lipca zamienioną na dwutygodnik i wychodzić będzie w dniach 10 i 25 każdego miesiąca.

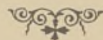
Gazeta wystawowa na numerze 19 zakończyła krótki swój żywot.

Wydawnictwo „Satyra“, dwutygodnika humorystycznego przeniesiono z Krakowa do Lwowa.

Nr. 15 „Przeglądu Poznańskiego“ z d. 8 b. m. zawiera: Kobiecy ruch zawodowy w Anglii, I. nap. W. Nadolski. — Przegląd prasy słowiańskiej przez K. — Z cyklu „Bez poezyi“ I. w szpitalu, przez W. R. — Gerhard Hauptmannn, studyum I. nap. Wł. Rabski.— Szkoła i wychowanie: E pur si muove III, p. Romualda Łazęgę. — Alma mater p. Alastora. — Listy z wystawy (lwowskiej) p. Ant. Potockiego. — Kronika londyńska. Kronika paryska. — Fejleton. Na wyłomie przez Sullę. — Z upominku na cześć E. Orzeszkowej — urywek. — Kronika powszechna. — Bibliografia. — Ogłoszenia.

„Przyjaciel Ludu“ z dnia 1 lipca br. zawiera: Niedoszły wiec w Krośnie. Pamiętajmy o wiecu we Lwowie (przypomnienie *zjazdu włościan na dzień 27. sierpnia 1894)* Straszna klęska. Jak prawda bywa prześladowaną napisał Jakób Bojko. Listy do *Przyjaciela Ludu:* Z Krakowskiego (Straszna klęska powodzi) nap. Franciszek Wójcik; ze Staromiejskiego (Spustoszenia przez dziki, ciężar konkurencyjny, polski hrabia) nap. Jeden z wielu; z Brzeskiego. (Nędza ludu) nap. Józef Moryś; z Jarosławskiego (Wybory do rady powiatowej) nap. Szymon Orynowicz. Wiadomości z powiatów i gmin. Niepoprawni do końca. Dobrze wiedzieć. Książę kardynał Albin Dunajewski. Wiadomości polityczne. Kronika. Ogłoszenia.

„Przegląd emigracyjny“ z 1. lipca zawiera ciekawy artykuł W. Ungara pt. „Idea kolonizacyjna wśród emigracyi polskiej“. — Polska i Polacy w świetle dziennikarstwa i literatury Stanów Zjednoczonych, nap. dr. Goldszmit. — Wiadomości z Brazylii, nap. J. S. — Rozmaitości. Wiadomości ekonomiczne i zapiski literackie.



Od Administracyi.

Upraszamy Szan. Prenumeratorów „Słowa Polskiego“ o wczesne nadsyłanie przedpłaty i prosimy o uiszczenie zaległości.



Odpowiedzi Redakcyi.

Wszystkim, zapytującym nas o dzieło »Stuletnia walka narodu polskiego o niepodległość«, oznajmiamy, że druk jego jest już na ukończeniu.

Wydawca i Redaktor odpowiedzialny: **Hipolit Śliwiński.**